



# Kamena

Rok założenia 1933

W tym numerze  
(wyjątkowo)  
dwie  
krzyżówki

LUBLIN 21.XII.1969. Nr 26 (433)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

## Włodawskie konfrontacje Śladem raportów podporucznika

Alojzy Sroga

**J**UZ do trzeciej z kolei książki sięgam po przebogate tworzywo, zawarte w dokumentach wojennych, zgromadzonych w Centralnym Archiwum Wojskowym.

Ileż to zbliżam się do tego budynku, tyleż to odczuwam przyspieszone bicie serca. Co dzisiaj znajdę?

Jaka dzisiaj spotka mnie przyspokoja?

Idę po określone nazwisko, po potrzebne mi dane personalne któregoś z bohaterów książki, po przeczytany, lub kiedyś zapamiętany dramatyczny meldunek. Nigdy jednak nie wiem, co spotkam po drodze, grzebiąc się w przywołanych aktach, jaką odsłonią mi kolejną małą czy wielką tajemnicę. Jaka prawa stanie się dla mnie dziś jasna i zrozumiała, której na przykład nie pojmowałem przed ćwierćwieczem.

Bywają w tym starym budynku i inne niespodzianki. Pułkownicy, majorowie-archiwiści, znający mnie już jak złego szeląga, od czasu do czasu uśmiechają się na mój widok i powiadają z tajemniczą miną: — Znowu mamy coś na pana.

„Coś” to w jednym wypadku wniosek odznaczeniowy na ówczesnego chorążego Alojzego Sroga za udział w szturmie Kolobrzegu. Inym razem — propozycja awansowania mnie, przeniesienie na inne stanowisko, rzecz jasna — z tamtego, wojennego czasu. Czasem strzęp jakiegoś raportu, bywa, że przewinie się moje nazwisko w czymś meldunku — dobrze, lub krytycznie.

Tym razem miny pułkowników były szczególnie tajemnicze.

— Nno! Mamy na pana bat...  
Rozłożyli czerwoną tezkę. Zdążyłem tylko jeszcze zerknąć na stronę tytułową. „DOW VII”. Taki numer nosiło istniejące po wojnie w Lublinie dowództwo okręgu wojskowego. Moja, 3 dywizja piechoty imienia Romualda Traugotta, wchodziła w skład tego okręgu.

— Tu, tu proszę przeczytać — niemal zmuszano mnie do czytania. Kilka zdań u góry mój rozmówca przykrył ręką.

Przebiegałem wzrokiem pierwsze linijki. „Do zastępcy dowódcy okręgu wojskowego VII do spraw politycznych. Raport o wyniku przeprowadzonych inspekcji...”

Z górą dwadzieścia bitych stron maszynopisu. Lapidarne zdania, spoza których raz po raz wycierał ku mnie dramatyzm. O walkach z podziemiem, o trudnej sytuacji gospodarczej, kulturalnej, społecznej w kilku powiatach Lubelszczyzny. I data — luty 1946 roku.

— Pasjonująca lektura — skwitowałem.

— Tak? — pułkownik uśmiechał się ironicznie. — Tylko tyle może pan powiedzieć?

Odsłonił przykrywane dotychczas zdania z lewej strony na górze pierwszej karty. „Sroga, ppor.” — przeczytałem.

— Co? — jeszcze przez chwilę nie rozumiałem.

— To przecież pańskie raporty.

— Niemożliwe. Nie, albo prawie nie pamiętam z tego.

— No proszę...

I dopiero druga, już staranna lektura zaczęła powoli otwierać mi pamięciowe klapy. Przy raporcie z Hrubieszowa przypomniawszy się scenie, jak to zabierał mnie stamtąd przy okazji pancernym samochodem młody generał... Jak to jechałem do Włodawy, kuląc się nocą w ciemnym wagonie kolejowym. Ileż to razy w sposób wymuszony zatrzymywaliśmy się w lesie czy w szczyrim polu pociągów. Wyciągano z wagonów pojedyncze osoby. Padał jeden, drugi strzał. Pociąg mógł jechać dalej.

Akurat niedawno przeniesiono mnie z frontowego 7 Kolobrzegskiego Pułku Piechoty, który był mi przez długi czas frontowym domem. Wysłano mnie na serię inspekcji. Byłem pewny swego zdobyczego pistoletu. Rachunek, podczas tych inspekcji, był przeprowadzony za-

Dokończenie na str. 10

## Jaki on jest, ten Niemen?

Romuald Wiśniewski

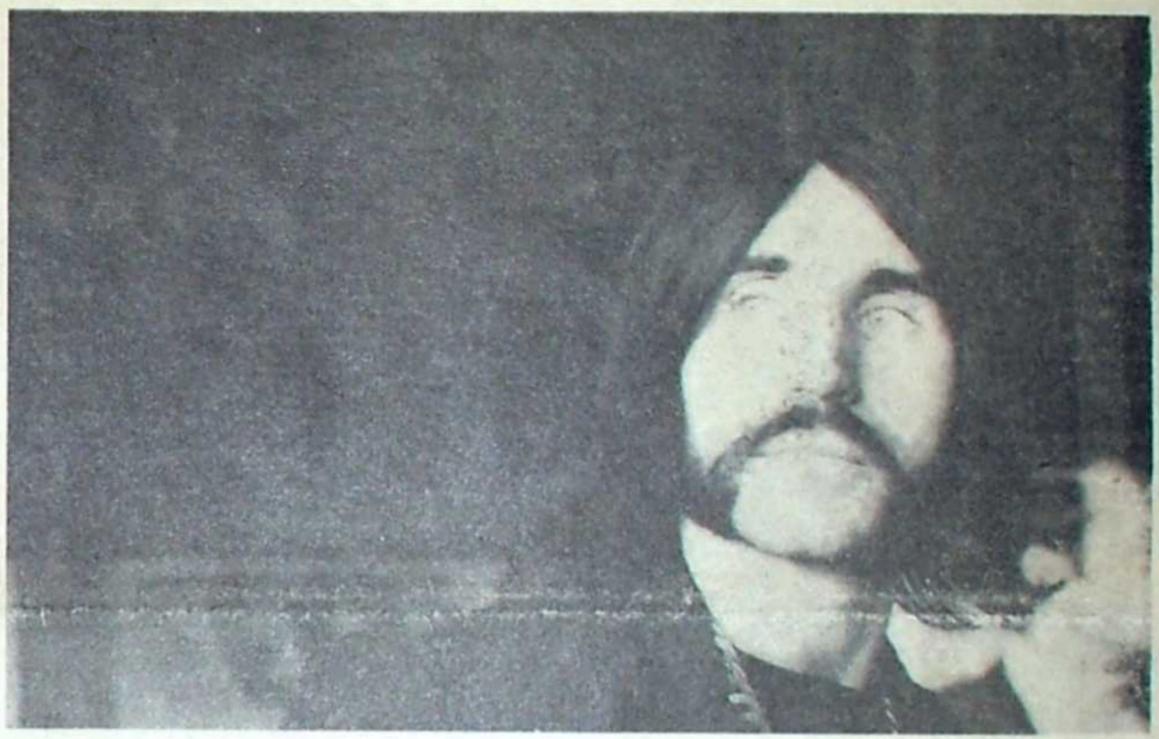


Foto: Bogdan Krasicki

**J**EST najlepiej zarabiającym w Polsce artystą estradowym. Od kilku lat jego występy biją wszelkie rekordy frekwencji. Bilety trzeba kupować na wiele tygodni naprzód; w dniach koncertów ceny ich na czarnym rynku są kilkakrotnie wyższe od nominalnych. Jedni uważają go za niezwykle zjawisko, talent najwyższej klasy, inni — za obdarzoną sprytem miernotę, płynącą na fali mody i umiejętnie robiącą wokół siebie reklamę. W równej mierze co piosenka, szokuje i obraża wielu ludzi jego sposób ubierania się — choć jedno i drugie znalazło liczących naśladowców. Napisano o nim dziesiątki poważnych publikacji i tysiące drobnych wiadomości, nakręcono kolorowy film, pokazywano go wiele razy w telewizji. Zaden artysta w powojennym ćwierćwieczu nie wzbudził tyle zainteresowa-

nia sobą, co Niemen i na temat żadnego nie było tylu sprzecznych opinii. Jak śpiewa, to wiadomo. Ale jaki on jest ten Niemen tak na co dzień, w hotelu, w przedziale kolejowym, w samochodzie, co robi, gdy nie pracuje? O te sprawy wypytywałem mnie nieustannie znajomi, gdy powróciłem do domu z małej podróży po Polsce, podczas której towarzyszyłem Czesławowi Wydrzykowi i jego zespołowi.

W Katowicach dziennikarz jednej z miejscowych redakcji dziwił się, że przyjechałem aż na Śląsk w tak blądej sprawie, zaś dwie panie z tego samego pisma prosiły mnie, abym pomógł im dostać karty wstępu na jutrzejszy występ, albo jakoś inaczej dostać się na widowienie, bo nawet pracownicy prasy, mimo swoich znajomości, nie zdążyli kupić biletów.

Do Zabrza przyjechałem w momencie, gdy odbywał się już wy-

stęp popołudniowy. Drugi miał być wieczorem, dwa następne — jutro. Sala tutejszego Domu Muzyki ma około 3 tysięcy miejsc. 3 tysiące razy cztery równa się 12 tysięcy. Sporo, nawet jak na Śląskie warunki. Pod Domem Muzyki zebrał się kilkutyśięcny i stale rosnący tłum tych, którzy nie dostali się do wnętrza. Co zrobić z takimi maniakami? Jeszcze wybijały szyby lub kogo zaduszają! Więc organizatorzy „Dni Zabrza”, które się wtedy właśnie odbywały, sprowadzili jakiś amatorski zespół beatowy ze stosunkowo silną aparaturą, ustawili dwie przyczepy samochodowe, dołączyli kabel elektryczny i polecili muzykom grać na tej zaizolowanej estradzie. Różni więc jakiegoś bląde melodyjki, a młodzież podłańcowała sobie pod gołym niebem i wy-

Dokończenie na str. 4

## Wigilia w Woldenbergu

Jerzy Dostatni

**A**ten dla kogo? — zapytał bezbarwnym głosem siwawy już podporucznik, kładąc wyszczerbiony widelec na czymś, co kiedyś zapewne było śledziem, a teraz kawałkiem szarej, zielonkawo-szklistej masy.

W rogu barakowej izby, plecami do nas, stał kapitan. Jego mundur był już mocno podniszczony, brakowało jednego naramiennika, u dołu brzojszy kończyły się powykrzywianymi ze starości półbutami. Kapitan wymieniał nasze nazwiska bącząc piłnie, aby w kolejności nie było żadnego porządku — alfabetycznego, według wzrostu, stopnia czy jakiegokolwiek innego klucza. Byłby towarzysko potępił, gdyby okazało się, że w porozumieniu z kładącym widelec większą porcję dał przyjacielowi, a mniejszą komus, kogo nie lubił. Niektórzy przebakiwali nawet, że po wojnie takimi sprawami zajmie się sąd honorowy, co może zakończyć się degradacją.

W obozie jenieckim Woldenberg — Gross Born (dziś Dobiegniewo), podobnie jak we wszystkich innych, przy rozdzielaniu żywności w każdej izbie obowiązywał ściśle

ustalony rytuał. Nie mógł nawet istnieć cień podejrzenia, że ktoś kogoś faworyzuje. Ale nawet czyszczenie zębów i butów, spacer i handel w jenieckim komisie, gra w brydża i przyjmowanie gości — wszystko odbywało się według wypraktykowanego rytuału i kolejności.

Gdy przywieziono tam nas, 300 powstańców z Warszawy, ustalony przez jeńców od 1939 r. porządek uległ pewnemu zachwianiu. Ale przysła kilka tysięcy starych „gefange-nów” już po kilku dniach i nas, w olbrzymiej większości przeciw cywilów, wtłamsiła w rzy obywatelowej dyscypliny. Ustallili ją i narzucali zresztą przedwojenni oficerowie zawodowi. Od początku uważali się w obozie za elitę i zdolali sobie podporządkować oficerów rezerwy, którzy liczbowo stanowili wprawdzie większość, ale dość szybko ulegli naporowi zawodowych. Jak daleko sięgała ta dyscyplina? Nawet do całkiem prywatnych spraw utrzymywania z kimś znajomości. Już pierwszego tygodnia uprzedzono mnie ostro: niech się pan porucznik nie waży nawiązywać kontaktu z podporucznikiem Leonem Kruczkowskim, który mieszka w sąsiednim baraku. To komunista i jeszcze się z nim poli-

czymy, a nie chcielibyśmy z panem!

Ale miało być o śledziowym ochlapie. Był on — jak nam nie omieszkał powiedzieć hitlerowscy strażnicy — specjalnym dodatkiem świątecznym od wielkodusznych władz Trzeciej Rzeszy. Drugim dowodem owej łaskawości, a właściwie komendanta obozu na własną rękę, było zaniechanie wieczornego, zawsze zbyt długiego apelu. Komendant, niski i okropnie gruby generał, mocno już podtatusiawy, w pierwszy dzień świąt poślubił jakąś osiemnastoletnią dziewczynę. Głupia — jeszcze się jej zdawało, że robi wielką karierę. Drugiego maja następnego roku widziałem w Lubce, jak spoliczkowała męża, gdy — ledwo idąc przed angielskim czołgiem — usiłował ją zmusić do niesienia walizki...

Dyżurny izby zarządził: — Proszę zająć miejsca przy wigilijnym stole. Tym razem głos mu nieco zadrgał, a może tak mi się tylko zdawało. Siadaliśmy też zgodnie z ustalonym rytuałem — według stopni, a w ramach tego samego stopnia według starszeństwa nominacji. Gdy i to nie dawało rozwiązania — według starszeństwa w poprzednim

stopniu. Siadaliśmy na czymś, co wirtownie nazywano taboretami, a co składało się z grubo ciosanych klocków, wyglądających z wierzchu naszymi mundurami. O obrusach na zestawionych teraz razem stołach nawet mowy nie było. Tylko na środku, przed najwyższą szarżą, leżało nieco dziurawe i szare przedścieradło. Ktoś je przetrzymał od zeszlotygodniowej zmiany bielizny, śpiąc na samym sienniku, obficie faszerowanym tysiącami pluskwów.

Wybaczcie, ale tym pluskwom należy się chwila wspomnień. Początkowo zarówno sami jeńcy jak i administracja niemiecka prowadziła z nimi zawziętą walkę. Insekty niemiennie wychodziły z niej zwycięsko... W oficjalnej „parówce” ginęły tylko te najstarsze, nie najlepiej odżywiane chudą krwią jeniecką. Ręczne wyłuskiwanie pluskwów z rozdrobnionej już słomy przypominało pracę założyciela Koryntu. Nie, nie, tu nie o córy tego miłasta chodzi, lecz o Syzyfa, ojca Odysusza. Również i my, ostatni transport jeńców, przyzwyczajaliśmy się już, że trzeba je karmić własną krwią. Zresztą powtarzana na ucho

Dokończenie na str. 6

# Zbrodnia w Song My

**W** PRZYSZŁYM roku obok 25-lecia powrotu Ziemi Zachodnich do Polski będziemy obchodzili inną rocznicę — 25-lecie kapitulacji hitlerowskiej Rzeszy i zakończenia II wojny światowej. Sądzę, że lektory będą mieli w związku z tym wiele roboty i już dzisiaj warto zacząć się przygotowywać do odczytów.

W tym miejscu chciałbym gorąco polecić książkę Alana Bullocka pt. „Hitler — studium tyranii”. Ukazała się ona nakładem „Czytelnika” i szybko zniknęła z półek księgarskich. Kto jej nie kupił, może naprawdę żałować. W każdym razie warto ją szybko odszukać w bibliotekach.

Alan Bullock jest wybitnym historykiem brytyjskim. Książka, o której mowa, należy — jak słusznie zauważa Franciszek Ryśka w przedmowie do polskiego wydania — do tych lektur, których ominąć nie sposób, jeśli pragniemy się dowiedzieć, czym był i skąd powstał ponury fenomen hitleryzmu.

Oczywiście do niektórych fragmentów tej pracy można mieć pewne zastrzeżenia. Franciszek Ryśka zwraca uwagę, że na kartkach tej książki nie pada słowo imperializm. Nie możemy — pisze — mieć do Bullocka pretensji, iż operuje kategoriami pojęć właściwych jego narodowej historiografii i tradycjom kraju imperialnego. Można natomiast podnieść zarzut, iż nie dość wyraźnie — a rzecz jest poza dyskusją — przedstawił on imperialistyczne cele Hitlera i jego imperialistycznych partnerów z Paryża i Londynu, gdy razem z włoskim dyktatorem decydowali o losie matych narodów.

Lekcja monarchijska stanowi tutaj przykład najbardziej wymowny.

Zbliżająca się rocznica 25-lecia zakończenia II wojny światowej budzi wiele refleksji. Właśnie w Moskwie zakończyło się spotkanie przywódców partyjnych i państwowych siedmiu krajów socjalistycznych. Dziś w Europie nie padają strzały, ale sytuacja daleka jest od idylli. Kraje socjalistyczne wypowiedziały się za rozszerzeniem i rozwojem stosunków między wszystkimi państwami na zasadach równoprawności, nieingerencji w sprawy wewnętrzne, poszanowania suwerenności, integralności terytorialnej i nietykalności istniejących granic. Interesy pokoju i bezpieczeństwa wymagają, aby wszystkie państwa ustanowiły równoprawne stosunki z NRD na podstawie prawa międzynarodowego, aby uznały za ostateczne i nienaruszalne istniejące granice europejskie, w tym granice na Odrze i Nysie.

Ostatnie wybory w Niemieckiej Republice Federalnej wykazały, że znaczna część społeczeństwa NRF nie chce, aby jej kraj balansował na krawędzi wojny. Pozytywnym momentem jest podpisanie przez NRF układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Dostrzegając znaczne zmiany w układzie sił politycznych w NRF, nie wolno nam jednak tracić z oczu niebezpiecznych przejawów ducha odwetu i aktywizacji sił neonazistowskich.

Strzały nie padają w Europie, ale padają na Bliskim Wschodzie i w Wietnamie. Świat został wstrząśnięty wielką zbrodnią amerykańską w Song My. Telewizja amerykańska przeprowadziła wywiad z Paulem Meadlo, jednym z żołnierzy, który brał udział w masakrze ludności cywilnej. Meadlo z rozbrajającą szczerością mówił o tym, jak amerykańskie helikoptery wylądowały niedaleko wsi. Żołnierze amerykańscy zaczęli przeskakiwać wień, wyciągali mieszkańców i zganiłali ich na centralny plac. Byli wśród nich mężczyźni, kobiety, dzieci i niemowlęta.

Okrążyliśmy ich i kazaliśmy wszystkim kucać, a porucznik Calley podszedł i powiedział: — „Widzicie chyba, co z nimi zrobić, nie?” Odpowiedziałem — tak. Myślałem, że chce, żebyśmy ich po prostu pilnowali. Porucznik odszedł, wrócił za jakieś dziesięć — piętnaście minut i mówi: „Jeszczeście ich nie wykończyli?” Mówię mu, że nie wiedziałem, iż chce ich wykończyć, myślałem, że chce, żebyśmy ich tylko pilnowali. „Nie — mówi on — chcę, żeby byli zabici!”... Dalem chyba ze cztery serie... Każda seria — 17 strzałów... To po prostu tak, jak by się ich polewalo wodą i dlatego nie można wiedzieć, ilu się zabiło... Myślę, że mogłem zabić dziesięciu do piętnastu z nich. Mężczyzn, kobiety i dzieci...

Zbrodnia się jeszcze nie dopełniła. Przeprowadziliśmy — opowiada Meadlo — ich więcej. Mieliśmy zamiar wpełznąć ich do ziemianki... No i wpełnęliśmy ich tam i wrzuciliśmy za nimi granat. Wtedy ktoś powiedział nam — ciągnąć ich do domu... W tym czasie tam już wszystkich zbraliśmy, razem pewnie ze 70-75 ludzi. Dołączyliśmy także naszych i porucznik Calley powiedział: „Meadlo, mamy jeszcze robotkę”. Podszedł do ludzi zaczął ich spychać i strzelać...

Ilu ludzi zabito tego dnia? — zapytał dziennikarz. Myślę, że około trzystu siedemdziesięciu...

Na miejscu był fotograf wojskowy Ronald Haebel. Zapewne nie przypuszczał, że będzie tym, który najbardziej skorzysta. Teraz za 25 tys. dolarów

sprzedał zdjęcia obrazujące zbrodnię. Zakupił je tygodnik „Life” (Życie!), który w numerze z 29 ub. m. opublikował je na dziesięciu stronach.

McGovern, senator demokratyczny, jeden z najbardziej zawziętych krytyków wojny wietnamskiej, powiedział: Sądzę, że po raz pierwszy miliony Amerykanów zdają sobie obecnie sprawę, że wdepnęliśmy w konflikt, w którym z konieczności popelniamy straszliwe okrucieństwa, i w czasie którego popelniamy, w pewnym sensie, nasz własny mord.

Ale amerykański dziennik „Wall Street Journal” szybko pozbił wypowiedzi Amerykanów, z których ma wynikać, że masakra jest czymś „normalnym”.

Tak jest zawsze, wojna jest wojną — miała oświadczyć Mary Halsem, emerytowana pielęgniarzka w Los Angeles, a Patrick Kupper, windyjarz w Bostonie zauważył: Dobra robota. Przecież nie po to dajemy kule żołnierzom, aby nosili je w kieszeniach.

Mimo wszystko jednak masakra w Song My nie ułatwił Nizobowi sytuacji Robert Moskwa, kierownik działu zgranicznego popularnego tygodnika „Look” pisał ostatnio:

Powinniśmy natychmiast wynieść się z Wietnamu. Tak brzmi — brutalnie i po prostu — konkluzja, do której doszedłem po odbyciu ostatniej podróży do Południowego Wietnamu oraz po rozmowach przeprowadzonych z szefami delegacji obu stron w rozmowach paryskich... Nie udało nam się wygrać wojny na polu bitwy. Nawet mając tam 500 000 żołnierzy, nie możemy wojny tej wygrać. Nie udało nam się również stworzyć armii południowowietnamskiej, która mogłaby samodzielnie prowadzić działania wojenne. Dalsze wysiłki, by osiągnąć ten dalekosiężny cel, będą nas kosztowały życie dalszych dziesiątków tysięcy Amerykanów. Nie udało nam się także stworzyć w Sajgonie popularnego lub demokratycznego rządu. Obecny reżim jest dyktaturą wojskową, zależną całkowicie od naszej obecności.

Prosta prawda polega na tym, że cena za utrzymanie Wietnamu Południowego jako państwa niekomunistycznego wzrosła do takiego poziomu, którego naród amerykański nie jest już skłonny płacić. Tak brzmi realistyczna definicja porażki. Jeśli wyciągniemy wnioski z lekcji wietnamskiej — iż potęga amerykańska ma swoje granice — to wojna ta przynajmniej może oznaczać kres pewnej epoki i początek nowej, w której USA będą odgrywały w świecie rolę mniej policyjną, lecz nacechowaną większą wyobraźnią.

Czy Stany Zjednoczone wyciągną wnioski z lekcji wietnamskiej? Trudno w tej chwili na to pytanie odpowiedzieć. A właśnie takie samo pytanie zadał mi p. Jerzy Komar z Zamocia, który stwierdza w swoim liście m. in.:

Panie Redaktorze, niech mi Pan powie, jak to jest? Amerykanie kiedyś potępiali zbrodnię hitlerowską, dziwili się, jak można było strzelać do bezbronnej ludności. A dzisiaj sami strzelają. Przybyli do Wietnamu, żeby bronić ludności tego kraju przed komunistami, a faktycznie bronią rządu, który nie ma żadnego poparcia w narodzie. Pół miliona uzbrojonych po zęby Amerykanów nie może sobie poradzić. I co dalej? Przyślą następne pół miliona?

Jeśli nawet przyślą, nie sądzę, aby ta wojna była do wygrania. Wróć jeszcze do tego tematu, postaram się też Panu, zgodnie z Pana prośbą, bliżej nasświetlić amerykańsko-radzieckie rokowania w Hel-sinkach. Zaczekajmy jednak na pierwsze efekty.

## Spotkania „Kamery”

W ostatnich dwóch tygodniach, głównie z okazji tygodnia „Człowiek — świat — polityka” pracownicy redakcji „Kamery” byli obecni na wielu spotkaniach ze swoimi czytelnikami.

Red. naczelny Marek A. Jaworski spotkał się z pracownikami Zakładów Przemysłu Mięsnego w Lublinie, członkami kół ZMW i starszymi mieszkańcami wsi Dzierżkowiec-Wola w pow. kraśnickim (temat: aktualna sytuacja międzynarodowa) oraz — razem z red. naczelnym „Kurierem Lubelskim” L. Gnotem i z-cą red. naczelnego „Standardu Ludu” Wł. Smutkiem — z bywałymi Klubu MPMK w Lublinie.

Sekretarz redakcji Jerzy Dostanił mówił o do-robku Lubelszczyzny w 25-leciu PRL w klubach „Ruch” w Sławatyczach pow. włodawski oraz Spiczynie pow. lubartowski, a także dla uczestników kursu na kandydatów na przewodników po Lublinie i Lubelszczyźnie.

Red. Romuald Wiśniewski z problemami Polonii zaznajomił mieszkańców Woli Uhruskiej w pow. włodawskim, Kaniweli pow. lubartowski, Mirza, Horodla i Grabowca w pow. hrubieszowski, oraz aktyw nauczycielski w Duma Naucewicza w Hrubieszowie.

Red. Mirosław Derecki o współczesnej młodzieży w krajach zachodnich mówił w lubelskim klubie „Relaks” oraz w Zakładach Przemysłu Mięsnego w Lublinie, a o filmie „Moja siostra moja miłość” wygłosił prelekcję w kinie studijnym „Stromiejskie” w Lublinie.

**N**AJOBSZERNIEJSZYM ukraińskim mieszczańskim literacko-kulturalno-społecznym jest wychodząca od 31 lat w Kijowie „Witryzna” (Ojezyczna).

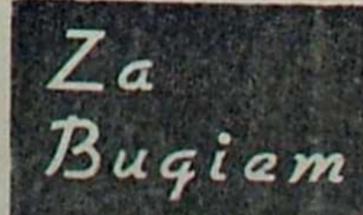
Do redakcji tego czasopisma wchodzi czolowi pisarze ukraińscy: Oles Honczar, Mychajło Stełmach, Andrij Holowko, Wasyl Kozaczko, Iwan Łe. Natan Byhak i inni.

W numerze listopadowym „Witryzny” rozpoczęto druk noweli powieści Pawła Zahrebelnego „Z obłędu wzniosłości”, której akcja dzieje się współcześnie w środowiskach intelektualnych i robotniczych.

Jewhen Hucalo to jeden z czołowych współczesnych prozaików ukraińskich młodszego pokolenia. Należy on do tej grupy pisarzy, którzy w ostatnich latach rozniecili modernizację ukraińskiej literatury radzieckiej. Drukuje tu kilka miniatur prozą pod wspólnym tytułem „Osialannia” (Osialennia i noty o „Z przyrodą na osobności”).

Oleksa Lewada jest autorem popularnych na Ukrainie i w całym Związku Radzieckim sztuk teatralnych, które spotykały szerokie dyskusje i nadzieje na nowy kierunek w dramaturgii ukraińskiej. Sztuka O. Lewady „Faust i śmierć” oceniono jako „wyjątkowo nie tylko O. Lewady, ale też całej drama-

turgii ukraińskiej”, tłumaczona ona była na liczne języki narodów ZSRR i inne, również na język polski. Z okazji 60-lecia urodzin pisarza umieszczono w omawianym numerze „Witryzny” esej o jego twórczości pióra L. Dawydowej.



Wasył Czumak, utalentowany poeta ukraiński, zamordowany został w wieku 18 lat przez wojska Denikina w Kijowie w 1919 r. Jego wiersze przepojone były żarem rewolucji i wiarą w siły narodu. Pamięci tego poety, którego zrabulowano w latach 1936-1937, poświęcił wspomnienie w zbeletyzowanej formie Jerzy Burła.

Tróchę wbrew zapowiedzi w poprzednim numerze — do publikowania zdjęć aktorów zamiast aktorek przechodzimy etapem. Oto więc Mireille Darc i Alain Delon. W życiu prywatnym od wielu lat tworzą parę przyjaciół. Powyższe zdjęcie zostało zrobione pół sekundy przed pocałunkiem w filmie, którego nazwy jeszcze nie ustalono. Komentarz francuski opatrzył to zdjęcie — nie wiemy dlaczego — podpisem: symbol erotyzmu, będącego zarazem lekcją mądrości.



## Zmarli

84-letni Alojzy Siłwa, nestor pisarzy olsztyńskich, poeta i publicysta, zastępczo działacz społeczny, weteran walk o polskości Warmii i Mazur, odznaczony m. in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

78-letni pisarz angielski, Wyndham Lewis, od 6 lat zamieszkały w Hiszpanii. W latach swojej młodości utworzył „Centrum sztuki rewolucyjnej”, które przeciwstawiało się futuryzmowi. Jego głównym dziełem jest „Wiek ludzki”, trylogia fantastyczna, w której człowiek nie odgrywa zbyt pięknej roli. Zwalczał wpływ Frontu na literaturę, pochwalając natomiast uleganie wpływom Villona i Mallera.

## Literatura

Jan Szczawie jest głównym autorem przygotowywanej do druku „Antologii poezji Polski Walczącej”. Obecnie ona pozaje publikowana w prasie konspiracyjnej i powstającej, krążąca w odpisach, powstała w obozach jeńców, w polskich formacjach wojskowych na Wschodzie i na Zachodzie, także satyre i teksty piosenki.

30 listopada odbyło się w Rzeszowie sympozjum, poświęcone twórczości pisarzy ludowych tego województwa, zorganizowane przez ZW ZMW oraz „Widnokrąg” — dodatek do „Nowin Rzeszowskich”. Dr Bronisław Gołębiowski, z-cą kierownika Biura Prasy KC PZPR, wygłosił referat „Przemiany społeczno-kulturalne w Polsce w świetle pamiętników”, a Mieczysław Grad, prezes Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, omówił dzieje i dorobek literatury ludowego tego regionu.

Doroczna nagroda „Odry” za całokształt twórczości literackiej otrzymał Marian Jachimowicz, długoletni pracownik przemysłu węglowego w Wałbrzychu, autor kilku tomów poezji.

PIW wydał bardzo starannie niewielką, ale ciekawą książeczkę „Listy Konstantego i Hłedfansa Gałczyńskiego i Juliana Tuwima” w opracowaniu Tadeusza Janiszewskiego.

„Iskry” wydały antologię opowiadań pisarzy polskich pt. „Po prostu miłość” w opracowaniu D. Łukawskiej i B. Olszaniek. Antologia obejmuje utwory 29 pisarzy z ostatniego półwiecza.

W Bułgarii ukazało się pierwsze pełne tłumaczenie „Iliady”. Autorami przekładu są filolog Aleksander Milew i poetka Błaga Dymitrowa.

## Teatr

Na scenie kameralnej Teatru Polskiego w Warszawie odbyła się premiera polskiej sztuki „Ostatnie piętrowe”. Autorem jest Jerzy Przędziński, reżyserował Maciej Zenon Bordowicz.

Institut Badań Literackich PAN zorganizował w Warszawie dwudniową konferencję naukową na temat „Opera w Polsce w XVII i XVIII stuleciu”. Udział wzięli także naukowcy z Lipska i Dreżna. Sesja przyniosła wiele nowego materiału dla opracowania historii teatru w dawnej Polsce.

W Opolu odbył się ogólnopolski festiwal teatrów lałkowych.

Póździernikowy numer radzieckiego czasopisma „Teatr” przyniósł obszerny esej Natelli Baszindżian „Dramaturgia polska i współczesność”.

Po VI Festiwalu Dramaturgii Rosyjskiej i Radzieckiej w Katowicach kilka teatrów dało 40 przedstawień w 20 miastach Śląska i Zagłębia. Pokazane sztuki oglądało ponad 28 tys. widzów.

„Triumf śmierci” — taki jest tytuł najnowszej sztuki Eugenio Ionesco. Premiera odbędzie się w październiku przyszłego roku w Duesseldorfie pod nadzorem autora.

## Sztuka

Z udziałem ministra Kultury i Sztuki L. Motyki odbył się w Gdańsku pod koniec listopada XII zjazd Związku Polskich Artystów Plastyków. Z tej okazji otwarto w Oliwie wystawę „Plastyka Wybrzeża w polskich zbiorach muzealnych”.

W warszawskim Pałacu Kultury i Nauki otwarto wystawę 139 prac 53 artystów radzieckich młodego pokolenia.

Znany grafik Tadeusz Kuliszewicz, m. in. dwukrotny laureat nagrody państwowej I stopnia, obchodził 70 urodziny.

3 stycznia zostanie otwarta w Londynie wystawa „1000 lat sztuki polskiej”. Ekspozycję wystawo 7 samochołami ciężarowymi.



Tróchę wbrew zapowiedzi w poprzednim numerze — do publikowania zdjęć aktorów zamiast aktorek przechodzimy etapem. Oto więc Mireille Darc i Alain Delon. W życiu prywatnym od wielu lat tworzą parę przyjaciół. Powyższe zdjęcie zostało zrobione pół sekundy przed pocałunkiem w filmie, którego nazwy jeszcze nie ustalono. Komentarz francuski opatrzył to zdjęcie — nie wiemy dlaczego — podpisem: symbol erotyzmu, będącego zarazem lekcją mądrości.

# Hubalczyk z Sheffield

(Tropem ludzi majora Hubala)

Mirosław Derecki



Kielecczyzna luty-marzec 1940. Od lewej: wachm. Józef Alicki, rtm. Józef Walicki („Walbach”), wachm. Romuald Rodziewicz („Roman”), ppor. Marek Szymański („Sep”).

Pewnego dnia na mój londyński adres przyszedł list następującej treści:

Sheffield, 17.VIII.40 r.

Szanowny Panie!  
List Pana z 11 b. miesiąca otrzymałem, za który serdecznie dziękuję. 20 sierpnia w sobotę przyjadę do Londynu spotkać się z Panem. Od czasu do czasu docierają do mnie różne artykuły z prasy krajowej o Oddziale mjr. Hubala. Czytam je zawsze bardzo dokładnie i z dużym wzruszeniem — bo każdy z tych artykułów jest jednym z rozdziałów mojego życia.  
Współnie bym mógł coś nowego dodać do tego, co już zostało napisane. Ludzie się jednak, że może wspomnieć o Panenudzie nam się odnaleźć chociaż część naszych oddziałowych pamiętników i rozkazów dziennych oddziału. Były one regularnie pisane i co kilka tygodni przekazywane na przechowanie różnym „peunym i zafanym” ludziom.  
Odnalezienie części tych rozkazów i pamiętników umożliwiłoby dużo światła na sprawę istnienia naszego Oddziału i jego celów.  
Łącząc serdeczny uścisk dłońi pozostaje z poważaniem

R. Rodziewicz.

Czekałem na to spotkanie prawie rok, od czasu, gdy zacząłem się interesować losami żołnierzy oddziału majora Hubala i od chwili, gdy dowiedziałem się, że jedna z najbardziej barwnych postaci tego oddziału, wachmistrz Romuald Rodziewicz, żyje na emigracji w Anglii.  
Teraz, gdy już byłem w Londynie, jego list poruszył mnie szczególnie. Nie ze względu na passus, dotyczący ukrytych w Polsce dokumentów oddziału. Wiedziałem dobrze, że gdyby takie jeszcze istniały, już dawno by je ujawniono, tak jak się to stało z licznymi zdjęciami i odczynkami Hubalczyków. Chodziło o coś innego. Forma listu świadczyła, że Rodziewicz, mimo iż swego czasu wybrał drogę w przeciwnym od Polski kierunku, choć prawie nie utrzymywał korespondencji z dawnymi przyjaciółmi w Polsce — nie zasklepił się w swoim „emigranckim losie”. To świadczyło, że nasza rozmowa będzie szczerą.

Rodziewicz mógł wyjaśnić wiele niedokładności w historii oddziału majora Hubala. Jest on wszak, obok żyjącego w Polsce Józefa Alickiego, jedynym żołnierzem, który był przy Hubalu od momentu powstania oddziału aż do śmierci dowódcy. Należał do ludzi najbardziej zaufanych, najbardziej bliskich majorowi.

W małym pokoiku na Actonie, w zachodnim Londynie, przegadaliśmy dwa dni. To, czego dowiedziałem się podczas tej długiej rozmowy, przekazuje poniżej.

Na pograniczu byłych województw — wileńskiego i nowogródzkiego, nad rzeką Berezynką, w miejscowości Ławski Bród, siedziała z dawną na niewielkim folwarku rodzina Rodziewiczów. Pochodzili z polskich Tatarów, swego czasu uszlachceni, pieczętowali się herbem Tarnawa z lukiem, strzałą i buńczukiem. Klasowo — szlachta zaściankowa — tkwili zawieszani w pół drogi między stanem szlacheckim a chłopstwem. Romuald Rodziewicz wychował stryj Leon, dzielący swój żywot pomiędzy gospodarowaniem na folwarku a posiadaniem leśniczego, która to posiadłość pozwalała mu utrzymać pozycję „obywatela ziemskiego”. Rodzice Romualda zmarli w dalekiej Mandzurii, gdy był jeszcze dzieckiem. W ostatnich latach, poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej, Rodziewicz odbył swój pierwszy staż wojskowy w 3 Pułku Szwoleżerów w Suwałkach, potem zaczął przygotowywać się do zawodu rolnika. Był na praktyce u jednego z braci matki, który prowadził wielkie gospodarstwo hodowlane.

Nadeszło lato 1939 r. Na początku lipca Romuald Rodziewicz został powołany na szesćtygodniowe ćwiczenia do 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich w Wilnie. Tuż przed bramą koszar natknął się na wysokiego, szczupłego cywila o pościągłej twarzy, ubranego z wiejska. On również, jak Rodziewicz, posiadał stopień kaprala i także wezwano go na ćwiczenia. Nazywał się Józef Alicki, był synem chłopa z Białostockiej. Przypadkowa znajomość szybko przekształciła się w przyjaźń. Przypadli sobie do gustu. Był może właśnie dlatego, że tak bardzo różnił się i wyglądem zewnętrzny i charakterami. Rodziewicz był szeroki w barach, silny, wesoły, a z natury narwany, pośpidliwy; Alicki — rozważny, chłodny, kalkulator. Co wcale nie ozna-

cza, że nie posiadał, jak jego przyjaciel, molojeckiej fantazji. Dał zresztą później liczne dowody. 27 lipca, w dniu święta pułkowego, obydwoj otrzymali awanse na plutonowych. Przyrzekli sobie wówczas, że gdyby wybuchła wojna, będą trzymać się razem. Na razie jednak, mimo napiętej sytuacji politycznej, panował pokój. W sierpniu ćwiczenia się skończyły, a rezerwistów rozpuszczono do domów. Alicki i Rodziewicz pożegnali się.

Nagły rozkaz mobilizacji zastał Rodziewicza w rodzinnym Ławskim Brodzie. Miał niezwłocznie stawić się w koszarach w Wolkowsku. Tam formowano część 104 pułku ulanów. Do Polski wkroczyli Niemcy.

W ogólnym rozgardiaszu, w atmosferze napięcia i nerwowości, Romuald Rodziewicz przeżył przecięt przyjemny moment: w pół godziny po nim w koszarach zameldował się... Józef Alicki. Obaj otrzymali przydział do plutonu łączności.

Z Wolkowskiego w składzie szwadronu zapasowego pułku, wychodzą w stronę wsi Jaźwa, a główne siły pułku, wraz z innymi oddziałami Wileńskiej Brygady Kawalerii, dążą na Kielecczyznę. Na Kielecczyźnie znajdują się i Alicki i Rodziewiczem, ale znacznie później i w zupełnie innych okolicznościach.

Oddział szybkimi pochodami ciągnie w kierunku Białegostoku, gdy nagle dogania ich rozkaz, by cofali się na Wilno, a wkrótce potem następny, żeby szli do Grodna. Po drodze, nocą, mijają miasteczko Ostryn. Z naprężenia, główną ulicą, cwałuje grupa jeźdźców. Na ich czele — z harpem w dłoni — oficer z dystynkcjami majora. To Henryk Dobrzański, znany jeździec, reprezentant Polski na wielu zawodach hippicznych, oficer 4 pułku ulanów. Skąd się tutaj wziął — nie wiadomo. Powinien teraz z głównymi siłami pułku być na Kielecczyźnie. Rodziewicz nie wie, że w ostatniej chwili Dobrzański został odkomenderowany na zastępcę dowódcy w formowanym naprzecde 110 pułku ulanów.

Grupa jeźdźców znika w głębi ulicy. To tylko przypadkowe, przełotne spotkanie. Ale przypadek też sprawi, że wkrótce spotkają się znów. Na długie miesiące.

Pod Grodnem oddział zostaje włączony w skład tworzącego się pod dowództwem majora Florkowskiego 102 pułku ulanów. Wraz ze 110 i 101 p. ul. oraz 103 pułkiem szwoleżerów ma on tworzyć Rezerwową Brygadę Kawalerii.

Brygada nigdy nie weszła do walki. Kampania wrześniowa przeradza się w klęskę polskich wojsk. Także na rubieżach kraju panuje zamieszanie. 102 pułk ulanów rusza ku granicy litewskiej, aby tam rozbroić się i szukać schronienia na Litwie. 110 pułk ciągnie w głąb Polski, ku broniącej się Warszawie...

Na granicy Alicki i Rodziewicz podejmują decyzję: będą walczyć nadal, wracając z powrotem. Major Florkowski nie sprzeciwia się. Daje im najlepsze konie i rynsztunek wojenny. Dołączają inni: rotmistrz Stanisław Sołtykiewicz z 2 p. ul., porucznik Feliks Karpiński, podporucznik Modest Iljin, podchorążowie Leon Golko i Jan Wyszomirski oraz jakiś przyplątany do pułku podporucznik polleji.

Porucznik Karpiński, najstarszy, najbardziej doświadczony, radzi dotrzeć do 110 pułku ulanów. To, że dowodzi nim stary wyga kawalerski, słynny zagonczyk, podpułkownik Jerzy Dąbrowski, rokuje jak najlepsze nadzieje. Pod jego komendą na pewno włączy się do walki.

Dążąc śladami pułku, przepytując po wsiach i leśniczkach, dochodzą wreszcie Dąbrowskiego pod miejscowością Giby. Ale w okolicach Łomży, w miejscowości Janów, ppłk Dąbrowski daje za wygraną. Zarządza odprawę, na której informuje oficerów, że rozwiązuje pułk, nie widząc możliwości dalszej walki. I wówczas na scenie pojawia się „rebeliant”. Major Henryk Dobrzański odmawia wykonania rozkazu. Oświadcza, że on przejmuje dowództwo i — choć wszystkie drogi są już zablokowane przez nieprzyjaciela — doprowadzi żołnierzy do celu. Jest noc z 23 na 24 września. Rankiem, w 160 koni, major rusza ku Warszawie.

Wśród tych, którzy zdecydowali się na dalszy marsz, jest prawie cała grupa spod granicy litewskiej. Już zakosztowali „partyzantki”. To oni właśnie staną się wkrótce jądrem Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego majora Hubala. Alicki i Rodziewicz pozostaną przy majorze aż do jego śmierci i oni przetrwają aż do rozwiązania oddziału — 25 czerwca 1940 r.

Gdy już byli prawie u celu, Warszawa pada. Major prowadzi ich teraz na południe (zostało tylko siedemdziesięciu) z zamiarem przebiecia się na Węgry. Już jednak na Kielecczyźnie zmienia decyzję: zostanie w Polsce, będzie czekał na włosenną ofensywę francuską. Spróbuje wtedy stworzyć „drugą front”.

Ale niewiele jest tego samego zdania. Gdy w połowie października oddział przybywa do leśniczówki Zychy pod Padoszycami, major ma pod swą komendą tylko dziesięciu ludzi. I to jest początek epopei Oddziału Wydzielonego. Trzymając się uparcie nazwy wojska regularnego, przekształcają się, chcąc nie chcąc, w pierwszy w dziejach tej wojny regularny oddział partyzancki. Nie zrzucają mundurów, ale przyjmują pseudonimy. Nie ma już Dobrzańskiego, jest — „Hubal”. Z oddziału znika plutonowy Rodziewicz, jest „Tarnawa”. To zresztą pseudonim oficjalny. Dla towarzyszy broni, dla okolicznej ludności, Romuald Rodziewicz stał się po prostu „Romanem”.

Alicki i Rodziewicz tworzą w oddziale zgraną parę. Razem walczą, razem awansują na wachmistrzów. Jeden skoczyłby w ogień za drugiego, ale z czasem odmiennie predyspozycje psychiczne kierują ich do różnych zadań. Alicki będzie się między innymi zajmował wywiadem, a w marcu 1940 r. zostanie dowódcą kawalerii oddziału. „Roman” ze swą szeroką, chwilami dziką naturą, bardziej nadaje się do chodzenia w pojedynkę, lub na czele niewielkich patroli. W walce Alicki zadziwia zimną krwią i opowianiem. Rodziewicz — szaleńcza brawurą... kolosalnym szczęściem, pozwalającym mu wyjść cało z licznych tarapatów. Wyrabia się na znakomitego zagonczyka.

Gdy od niego wymagają, potrafi bez zmużenia oka wykonać najbardziej okrutny rozkaz. To najczęściej on, w przemyślny sposób, dochodzi, a następnie likwiduje zdradców i szpiegów. To zwykle on wykonuje słynną, aplikowaną przez Hubala wobec oprychów i sprzedawczyków karę: „dwadzieścia pięć na gołą dupę i trzy razy w mordę”. Był może, chwilami odywają się w „Romanie” ślady tatarskiej krwi. Tym się jednak różni Rodziewicz od słynnego w oddziale kaprala Lisa, że owe egzekucje nie sprawiają mu przyjemności. Po prostu — rozkaz to rozkaz.

Po klęsce oddziału, podczas postoju resztek hubalowskiej konnicy w leśniczówce pod Wagrowcem, Rodziewicz omal nie zostaje zamieszany w paskudną historię. Major, w porwywie wściekłości, każe mu rozstrzelać porucznika „Czarnego” z kieleckiego obwodu ZWZ, który przyniósł rozkaz grozący sądem polowym, jeśli Hubal nie rozwiąże oddziału. Na szczęście sprawa zostaje załagodzona, a... jej epilog rozegra się dopiero w kilka lat później, w Oświęcimiu.

Po rozwiązaniu oddziału w czerwcu 1940 r. „Roman” ukrywa się przez pewien czas w mlechowskim, pozostając do dyspozycji ZWZ. Po napaści hitlerowskiej na ZSRR zostaje skierowany do wywiadu wojskowego. Odbywa przeszkolenie w Warszawie, wyrusza na tyły wroga, na Wileńszczyznę i dalej. Wokół pracują dawni koledzy z oddziału Hubala: „Sep”, Marek Szymański, jest szryfrantem w Wil-

nie. Alicki jeździ jako kurier pomiędzy Wilnem a Warszawą.

Rodziewicz obejmuje placówkę wywiadowczą w Mińsku i w Molołdecznie. Daje sobie radę doskonale. Zna teren, ma tutaj, w rodzinnych stronach, szerokie kontakty, w Molołdecznie — mnóstwo kolegów jeżdżących z czasów, gdy uczęszczał tu do gimnazjum.

Latem 1942 r., na Odcinku Północ wywiadu ZWZ, następuje wielka wyspa. Wprawdzie wszystkim byłym Hubalczykom udaje się szczęśliwie uniknąć aresztowań, ale są od tej chwili spaleni. Dla Komendy Głównej — nie istnieje.

Ostrożność nakazywała, by teraz przyjechać się na folwarku w Ławskim Brodzie, gdzie zresztą brak rąk do pracy i starzejący się stryj nie może dać sobie rady z gospodarstwem. Ale takie życie — nie dla „Romana”. Zaczyna wprawdzie się i orać, lecz jednocześnie wstępuje do miejscowej komórki ZWZ.

I właśnie tam, w zapadłym kącie Wileńszczyzny, w najbardziej zacisznym — jak mawiał stryj — miejscu za piecem Pana Boga, Rodziewicz opuszcza jego przysławione już szczęście. Zostaje aresztowany w domu przez gestapo. Sprawa jest o tyle dziwna, że Niemcy właściwie nie posiadają przeciw niemu żadnych dowodów. Rewizja omija skrytkę za obrazem, gdzie znajdują się kompromitujące dokumenty. Nikt nie pyta „Romana” ani o sprawy oddziału Hubala, ani o wywiad ZWZ. Dopiero podczas pierwszego badania wyjaśnia się, że chodziło zupełnie o kogo innego — o Szczepana Rodziewicza, brata Romualda. „Roman” nie może się zdobyć na zasypanie jednego z najbliższych mu ludzi. Gdy uparcie odmawia podania miejsca pobytu Szczepana, zostaje okrutnie pobity — na wszelki wypadek — wciągnięty w krąg osób podejrzanych.

Podczas jednego z przesłuchań Rodziewicz staje wobec sytuacji, jaka pasowałaby jak ułal do jego hubalowych czasów. Przesłuchanie odbywa się na parterze. W pokoju jest tylko dwóch gestapowców. Okno otwarte szeroko. Na podwórzu, pod oknem, stoi osiódłany koń. Na parapecie — kilka granatów. W kącie — pistolety maszynowe. „Roman” błyskawicznie ocenia sytuację: istnieją duże szanse na zlikwidowanie Niemców i ucieczkę. Powinno się udać. Wychodził nie z takich opresji...

Ale nie czyni nic. Jest już o kilka lat starszy i zna Niemców. Wie, że gdyby uciekł, zamęciliby się na całej rodzinie Rodziewiczów.

Niemcy stosują coraz bardziej wyszukane metody badania, a on żyje w ciągłym strachu, że prędzej czy później nie wytrzyma i zacznie swpać. Panicznie boi się tortur. Właśnie dlatego, że jest silny i odważny w boju, a tu nie może opowiedzieć uderzeniem na uderzenie. Postanawia popełnić samobójstwo. W celi wolożyńskiego więzienia, ciemnej i wypełnionej po kostki wodą znajduje duży, zardzewiały gwóźdź. Ciałymi dniami ostrzy go na kamiennym posadzce, aż koniec staje się ostrzy jak szpilka. Wtedy przystawia gwóźdź do skroni i z całą siłą wali weń cęglą. W ciemności nie trafia i w rezultacie... nabija sobie ogromnego guza na ciele. Natychmiast przechodzi mu ochota na dalsze próby...

Tymczasem Niemcy jakby dali za wygraną. W 1943 r. Rodziewicz zostaje przeniesiony do obozu koncentracyjnego w Mińsku a stamtąd prosto do... Oświęcimia. Na kilka lat staje się numerem 163 642.

Nie przeżyłby Oświęcimia, gdyby nie zupełnie niesamowity zbieg okoliczności. Któregoś dnia jeden z tzw. „starszych” więźniów zaczął mu się bacznie przypatrywać, a następnie zapytał: „Czy ty przypadkiem nie byłeś u Hubala?” „Tak” — odparł „Roman”. „A przypominaś sobie może incydent z poruc-

nikiem „Czarnym”, którego chcieliście pod Wagrowcem rozwalić? To byłem właśnie ja. Poznałem cię od razu. W takich momentach jak tamten, gdy człowiek stoi o krok od śmierci, twarze zapamiętuje się na całe życie”.

Dopiero teraz Rodziewicz dowiedział się nazwiska porucznika „Czarnego”. Nazywał się Jan Dmochowski. Dzięki niemu trafił do mniej wyniszczającej pracy, przetrwał. Dmochowski nie żył w przyrodzie. Rozumiał wybuch Hubala.

Tak wyglądał epilog sprawy, która miała początek u progu okupacji, w zagubionej leśnej chatce... Kielecczyźnie.

W październiku 1944 r. Rodziewicz został wywieziony do Buchenwaldu, a po miesiącu przydzielono go do wielkiej, 500-osobowej grupy więźniów, reperujących tory kolejowe, „Baza”, z której robocze brygady wyruszały w różnych kierunkach, miewała się w Salzburgu. Tam przyszło wyzwolenie. 4 maja 1945 r. do Salzburga wjechały czolgi amerykańskie.

W Murnau Rodziewicz spotyka znajomego polskiego oficera, który namawia go, żeby nie wracał do kraju, lecz wstąpił do wojska polskiego stacjonującego we Włoszech. W czerwcu 1945 r. „Roman” jest już żołnierzem 66 batalionu piechoty pancerniej, wchodzącego w skład 16 Pomorskiej Brygady Pancerniej.

Właśnie wtedy, z dala od ojczyzny, rozbrzmiewa dla wachmistrza Romualda Rodziewicza ostatni mocny akord historii oddziału majora Hubala. Jesienią 1945 r. przypadkowo znajduje się w siedzibie ambasadora Pappée w Watykanie. W rozmowie z ochmistrzynią wspomina, że służył swego czasu na Kielecczyźnie, pod Hubalem. Na twarzy rozmówczyni pojawia się nagły wyraz niezwykłego wzruszenia, kobieta podrywa się z miejsca i szybko rusza w głąb domu. Po chwili prosi Rodziewicza do apartamentów ambasadorowej. To... rodzona siostra Henryka Dobrzańskiego! „Romuald” jest pierwszym naocznym świadkiem śmierci majora Hubala...

Na pamiętkę tego smutnego spotkania Rodziewicz otrzymał wówczas od pani Pappée kilka zachowanych przez nią zdjęć majora z dedykacją: „Podkomendnemu mego s.p. Brata, Romkowi Rodziewiczowi. L. P.”

Wkrótce poprzez tę znajomą doszło do spotkania z Melchiorem Wańkiewiczem. To w znacznej mierze na podstawie wspomnień „Romana” powstała książka „Hubalczyki”.

Dalsze losy wachmistrza Rodziewicza, którego dziś jeszcze wspomina wielu chłopów na Kielecczyźnie, nie były zbyt różowe. Uwierzył, że lepiej na razie zostać na Zachodzie. Zdemobilizował się już w Anglii. Ożenił się z Angielką, ma dwoje dzieci. Nie posiadał żadnego zawodu, więc w pierwszych latach pracował ciężko jako prosty robotnik w hucie. Kosztowało go wiele wyrzeczeń zanim zdobył swoją obecną specjalność. Mówi, że żałuje, iż nie wrócił po wojnie do kraju. Twierdzi, że i tak — wrócił.

Umówiłem się z Rodziewiczem, że następnym razem spotkamy się już w Polsce. Wówczas pojedziemy przez Kielecczyznę szlakiem oddziału majora Hubala. „Roman” chciałby, żeby z nami pojechał także Alicki.

Jak wypadnie konfrontacja dawnej przyjaźni, po trzydziestu latach? Co będą sobie mieli do powiedzenia syn białostockiego chłopa, który jak ojciec, gospodarował dziając na roli i potomek uszlachconych polskich Tatarów, który stoi przy tokarni w dalekim, robotniczym Sheffield?

# Jaki on jest, ten Niemen?

Dokończenie ze str. 1

patrywała, czy przypadkiem nie wyjdzie na zewnątrz Niemen.

Idę więc do Niemena. Niemena czy Niemna? Poprawna, zgodna z regułami naszego języka, byłaby forma „Niemna, Niemnowi, Niemnem”, ale skoro już się przyjęło „Niemena, Niemenowi, Niemenem”, to chyba trzeba to zaakceptować, zresztą nie ma o co toczyć wojny. „Mnie obojętne, może być tak, może tak” — mówi Niemen. Ma na sobie czarne spodnie, białą koszulę wyszywaną w ludowe mazowieckie wzory, gruby łańcuch, a na nim wielki medal z Dubnej, z roku 1870, z tej samej Dubnej pod Moskwą, gdzie teraz jest ośrodek badań atomowych. Długie, ciemne włosy, przylądzone z tyłu, sięgają mu aż do ramion, grzywa z przodu szczerą jest lekko na bok. Wąsy łączą się w jedną całość z bokobrodami, broda gładko wygolona. W sumie nie ma jednak w tym nic niezwykłego. O, wtedy, gdy wrócił z Paryża, w 1906 roku i zapuścił sobie tak zwaną „polkę” z małą grzywką, to była sensacja, tak się nie strzygli nikt. Dziś o wiele obficie zarosniętych młodych ludzi i o wiele ekscentryczniej ubranych spotyka się często, zwłaszcza w dużych miastach. Mówimy przecież nawet o polskich hippiesach. Niemen nie jest hippie. Wprawdzie ubiera się w sposób daleki od wskazań „Mody Polskiej”, ale starannie, jest zadbane, czysty, odprasowany, no a tryb życia, wypełniony intensywną pracą, też nie pasuje go do tamtego tarzawstwa.

Już raczej ci Czesi powinni budzić zainteresowanie publiczności dla swego wyglądu. Mają jakieś niesforne zarosty, rozwiane włosy, dziwaczne stroje... I do tego świetnie grają. Zespół „Flamengo” z Pragi, który występował w pierwszej części programu, to naprawdę dobra trupa artystyczna, to samo odnosi się do Joan Duggan, ich solistki, angielskiej piosenkarki, czy też Dempsey Knighta, piosenkarza z Australii. Lecz publiczność nie przyszła tu dla nich. Oni są jedynie interesującym uzupełnieniem programu. Niemen, Niemen! — rozlegają się głosy z widowni. Gdzie jest Niemen, — wola galeria przed każdym wystąpieniem konferansjera. Po raz pierwszy chyba w Polsce, której mieszkańcy w swoich obyczajach są tak czolobitni wobec cudzoziemszczyzny, polski artysta ma wyraźną przewagę nad znakomitościami z zagranicy.

No i wchodził wreszcie Niemen ze swoim nowym zespołem „Enigmatic”. Niemen też jest właściwie nowy. Miał już kilka osobowości artystycznych. Pierwszą jeszcze wtedy, gdy jako słuchacz szkoły muzycznej w Gdańsku zarabiał na życie występami w nocnych lokalach i kabarecie „To Tu”. Drugą, gdy w roku 1962 wystąpił w Szczecinie na I Festiwalu Młodych Talentów, śpiewając po hiszpańsku „Malagueña” i po portugalsku sambę z „Czarnego Orfeusza”. To się podobało, ale nie było rewelacją, tak samo, niezłe, choć nie zwracające uwagi. Mieściło się w granicach upodobań przeciętnej odbiorcy. Potem zaczął występować z „Niebiesko-Czarnymi”, przenosząc na nasz grunt nowe konwencje muzyczne, które w innych krajach zdobyły sobie już licznych sympatyków, zwłaszcza wśród młodzieży. Potem, po powrocie z Paryża, nastąpił kolejny zwrot. Paryż, wielkie światowe centrum kultury i

sztuki, miał zasadniczy wpływ na niejednego artystę. Niemen w konfrontacji z tyłoma zespołami, muzykami i piosenkarzami, którzy tam występują, zrozumiał, że nawet najlepsze opanowanie sztuki uprawianej przez innych nie może przynieść wartościowych efektów, że trzeba nie tylko nieustannie pracować nad sobą, ale i wnosić coś nowego od siebie. I że zadaniem artysty jest przede wszystkim nie bawienie publiczności, a zmuszanie jej do zastanawiania się, uwróżliwanie na to, co się dookoła dzieje. A dzieje się przecież tyle rzeczy — wspaniałych, i strasznych, budzących dumę i bezsensownych.

W roku 1966 zakłada zespół „Akwarele”, opracowuje nowy program. W 1967 nagrywa „Dziwny jest ten świat”, z własnymi słowami i muzyką. Dziwna jest też ta piosenka. Niemen eksponuje histeryczny krzyk, przeciąga w nieskończoność samogłoski, łamiąc je w nieoczekiwanych momentach. Jest w tym wyjątkowa ekspresja, nastrojowej pewnej beznadziejności i jednocześnie chęci poprawiania tego świata. Trudno bez namysłu zaakceptować tę filozofię i koncepcję artystyczną, trudne to do słuchania, wymaga bowiem koncentracji psychicznej u odbiorcy, a nie tego na ogół oczekuje się od piosenkarza. Piosenka zbiera gromy i jednocześnie zdobywa wielki sukces. Płyta z nią rozchodzi się w 250 tysięcy egzemplarzy. Niemen staje się najpopularniejszym polskim artystą estradowym.

Zmienia się i on sam. Nie chodzi już o coraz dłuższy zarost, coraz niezwyklesze stroje i coraz to nowe wisioriki, którymi się przyozdabia. Ten pełen dynamiki na estradzie człowiek, w życiu codziennym staje się coraz bardziej skupiony i zamknięty w sobie. Z natury mało-mówny, chwilami jest zupełnie milczkiem, unika kontaktów z ludźmi. I z coraz większą pasją pracuje. Jerzy Bogdanowicz, który jest od 4 lat impresariem Niemena i jego zespołu, opowiadał mi o ciężkiej harówce, jaką musieli okresać przedchodzący muzyki z „Akwareli”. Mielł zupełną swobodę wtedy, gdy Niemen komponował czy opracowywał nowe utwory — a jego zainteresowania przesuwają się ostatnio wyraźnie w stronę kompozycji. Potem zaczynał próby z całym zespołem i prowadził je od rana do późna w nocy. „Dziwny jest ten świat” zrobili w kilku zupełnie odmiennych wariantach, doprowadzili je wszystkie do poziomu, nadającego się do publicznego wykonania, a potem dopiero Niemen wybrał jeden z tych wariantów — ten, który znamy. W pracy jest bezkompromisowy, ma swoje poglądy i pomysły, realizuje je konsekwentnie, bez względu na opinię zespołu, najbliższego środowiska zawodowego i recenzentów. Zupełnie jak gdyby nie zwał, czy to przyjmie się, czy nie. Wydaje się, że nastąpił jakiegoś zmiany nie tylko w jego poglądach na sztukę, lecz i w nim samym.

I oto wychodzi na estradę. Nie ma braw, robi się cicho jak maknem zasiał, widać wyraźnie, że sala czuje jego indywidualność, że czegoś się spodziewa. A może po prostu działa już magia nazwiska?

Niemen znów jest inny. We Włoszech, gdzie występował przez pół roku, płyta z „Io senza lei”, czyli „Dziwny jest ten świat”, zdobyła duże uznanie. Prezentując się tamtejszej publiczności, jednocześnie przygotowywał nowy program, odmienny w charakterze od poprzedniego. Coraz wyraźniej przeważają w jego utworach elementy drama-

tyczne. „Jednego serca, tak mało, tam mało, jednego serca, trzeba mi”. Skomponował melodię do wiersza Asnyka i zrobił z tego piosenkę, bo zaproponowała mu to listownie, gdy był w Bolonii, nieznaną młodą dziewczyna wiejska, przykuta inwalidztwem do łóżka.

— Nie znalazłem tego wiersza poprzednio, a jest bardzo piękny — mówi mi Niemen — i może dziś aktualniejszy niż dawniej, gdyż przemiany społeczne oraz rozwój wiedzy i techniki zapewniają ludziom podstawowe potrzeby materialne, lecz ciągle są osoby samotne, niekochane, pozbawione ciepła innych.

„Czemu cieniu odjeżdżasz, ręce załamawszy na pancerz, przy pochodniach, co skrami grają wokół twych kolan?” — ileż w tym jest treści! „Bema pamięci żałobny rapso” C.K. Norwida, to mój ulubiony wiersz, oświadczył byłem oburzony, że Niemen ma zamiar to śpiewać, nie powiem też, abym był specjalnie zachwycony realizacją tego zamiaru. Trzeba jednak przyznać, że Niemen porwał się na rzecz trudną i na pewno z góry wiedział, że nie zjedna mu ona łatwego poklasku.

Niemen zresztą literaturę polską zna niezbyt dokładnie. Srednią szkołę ogólnokształcącą ukończył w Litewskiej SRR, w Wasiliszkach, małym mieście na Grodzieńszczyźnie. Była to szkoła z rosyjskim językiem wykładowym. Wydrzycki zna dobrze ten język i jego literaturę, uwielbia Puszkina, Turgeniewa, Tolstoja, Dostojewskiego, Czechowa i Gogola. Literaturę polską, głównie klasyków, poznał trochę w domu rodzinnym, po przyjeździe do Polski w roku 1958 przeważnie współczesną poezję, przypadkowo wybrane utwory.

Wtedy, po przyjeździe, miał zamiar studiować malarstwo, które pociągalo go i pociąga nadal, ale ojciec, który był stroicielem fortepianów i sam też grywał, zachęcił syna do muzyki. I Czesław został słuchaczem gdańskiej szkoły muzycznej w klasie fagotu. Jego ulubieni kompozytorzy to Bach i Mozart. Naukę przerwał po trzech latach, gdy umarł mu ojciec i musiał podjąć się utrzymania matki i siostry. No i wtedy zaczął śpiewać i grać na gitarze szlagiery. W krótkim czasie przeżył olbrzymią drogę. Dziś, kiedy dokonuje ekwilibrystyki ze swoim wysokim, jasnym głosem, akompaniując sobie na organach elektronicznych, gdy wpada przy tym w jakąś ekstazę, wygląda bardziej na apostoła niż na piosenkarza. Toteż kiedy w pewnej chwili wstaje od organów, bierze mikrofon w rękę i tańcząc w szybkim rytmie śpiewa jakieś piosenki angielskie, zaczynamy odczuwać zawód. No nie, nie tego oczekuje od Niemena tłum, który zwał się tu na jego występy i tłum, który czeka pod drzwiami sali. Przyszli obejrzeć apostoła, mistyka, posłuchać jego deklaracji, apeli. Posłuchać, to nie znaczy wcale dać mu posłuch. Przyszli — bo jest inny od ogółu, a być może właśnie odczuwają potrzebę popatrzeń na odmieńca. Podziwiania go, a nie wykluczone, że wykpienia — lub może jednego i drugiego.

— Oh, nie jestem aż tak zarozumiały, by przypuszczać, że wszyscy słuchacze są zwolennikami mojej muzyki. Poważny procent przychodzi dla sensacji. Gdyby przywieźli tygrysa bengalskiego do ich miasta, to przyszliby go zobaczyć, przyjechałbym ja, też przyjdą — mówi mi

Wydrzycki. — Zobaczymy, jaki on jest ten Niemen? Taki śmieszny jak dawniej, czy jeszcze śmieszniejszy? Chodźmy, posmiejemy się. Niektórzy zarzucają mi, że się za barwnie ubieram. Pan mówi to samo? To pan uważa, że ten szary garnitur jest ładniejszy od mojej marynarki z lowickiego pasiaka? Zawsze lubiłem kolory, chciałem zostać malarzem, czasem żaluję nawet, że nie zostałem. Więc jeśli mam chęć włożyć marynarkę w kwiaty, lub kapelusz z czerwoną szarfą, to dlaczego tego nie włożyć? Bo tego się nie nosi? Przepraszam, a komu to przeszkadza, co ja noszę? Komu to szkodzi? Dla mnie oświadczenie każdy może chodzić ubrany jak chce.

Mówię mu, że ja nie mogę, bo w tej chwili rozmawiam z nim, a nie-wykluczone, że zaraz potem pójdę np. do wiceprzewodniczącego Prez. WRN.

— Co z tego — pyta Niemen. — Czy przewodniczący sam, gdyby miał chęć, nie może założyć czarwonej marynarki? Czy byłby lepszym lub gorszym przewodniczącym tylko z tego powodu? Czy moja muzyka jest lepsza lub gorsza z powodu mego ubioru? To bzdura łącznie jednej sprawy z drugą. Na festiwalu w Cannes był Paul McCartney z zespołu Beatles. Wcale nie chciałem zobaczyć, jak wygląda z bliska. Chciałem tylko posłuchać jak śpiewa.

— Czasem — ciągnie Niemen — mam chęć ubrać się w szare ubranie i nie rozpoznany pochodzić spokojnie po ulicy. Ale byłoby to nieuczciwe wobec siebie, skoro właściwie lubię na kolorowo, albo też byłoby to tchórzostwem wobec tych, którzy mnie zaczepiają, zachowując się wobec mnie po chamsku, tylko dlatego, że wyglądam inaczej niż oni — choć przecież ja nikomu nie przeszkadzam. U nas jest tak, że podpiły chuligan może chodzić po ulicy, zatacać się, zaczepiać ludzi — i to jest w porządku, to się toleruje, ludzie omijają go z daleka, bo może kogoś uderzyć, skłąć. Za mną biegną gawiedź, choć nigdy nie chodzę pijany, bo prawie nie używam alkoholu i wiadomo, że na nikogo się nie rzucę. Ale czy to nie jest tolerowaniem absurdu przez społeczeństwo?

— Rozumiem jeszcze, gdy komuś nie podoba się moja muzyka — taki temat przynajmniej nadaje się do dyskusji. Nieporozumienia wynikają najczęściej z tego, że to, co robię, umownie zalicza się do muzyki rozrywkowej, a wielu ludziom wydaje się, że to powinno być coś do zabawy. Tymczasem ja wcale nie komponuję szlagierów. Nie chcę, aby moje utwory były grane w knajpach i śpiewane na ulicy. Chcę, aby przemawiały do ludzi. Uważam, że muzyka ma bogate, nie odkryte pokłady i staram się jak mogę zrobić coś, aby przyczynić się do ich odświeżenia. Dlatego będę nadal prowadził poszukiwania, będę starał się zmieniać, a gdybym przestał, to znaczy, że powinienem wycofać się sam, albo powinienem wycofać mnie ktoś. Cieszę się, że moje płyty mają powodzenie, wiem, że wśród tych, którzy je kupują, na pewno więcej jest prawdziwych miłośników i znawców muzyki, niż wśród tych, którzy pchają się na moje występy, licząc na jakąś drakę. Naturalnie bardzo sobie cenię sympatię publiczności, choć zdaję sobie sprawę, że kiedyś moda na Niemena może się skończyć i wtedy będą przychodziłi posłuchać mnie tylko ci, którzy rozumieją moją muzykę. Może to będzie i lepiej? Jedno jest pewne: wcześniej czy później przestaną występować i ograniczyć się tylko do kompozycji.

Spacerujemy po mieście. Gdy zatrzymamy się na dłuższą, zaraz zbierają się ludzie, dziesięciu, stu, dwustu. Wyciągają ręce po autografy. Jakiś brudny, pijany mężczyzna wyjmując paczkę papierosów. „Te, małpa, zapal sobie”. „Dziękuję, nie palę” — uśmiecha się Niemen. Kwadrans pobytu w sklepie kończy się koniecznością siadania do tak-sówki i przejechania do miejsca, gdzie jeszcze nie ma gapiów.

— O, widzi pan — stwierdza Niemen — ludziom brak fantazji, zajmują się tym, co im nie da. Lubią docinać innym, lecz sami są bardzo czuli, gdy zasztartować z nich. Ja się nigdy na nikogo nie obrażam. Jeśli ktoś rzuci pod moim adresem wulgarnie słowo, to wystawia zle świadectwo sobie, a nie mnie, bo przecież ja nie stałem się przez to gorszy, tak jak od pochwał nie staję się lepszy. Hamilton wyśmiał mnie w „Kulturze”. Hamilton jest świetnym pisarzem, jednak nie rozumiem mojej muzyki, ale on pisał głównie nie o muzyce, a o mnie, choć pewnie niewiele na ten temat wie, nie znamy się, nigdy ze mną nie rozmawiał, może nawet nie widział mnie osobiście? Czy mam się obrażać? Dlaczego? Marek Prawowski nakręcił z moją zgodą i przy moim udziale film. Ja ustawiłem rzecz tak, że żartuję, kpię i z publiczności i z siebie. Reżyser jednak zamontował to potem tak, że wyszło, iż to on kpi i z publiczności i ze mnie — ja natomiast traktuję to ze śmiertelną powagą. Duża różnica, nieprawdaż? Ale nie obrażam się, bo i o co? Film jest ciekawy jako parodia mojej osoby, choć nie oddaje rzeczywistości i nie nie wyjaśnia, nie bardzo więc wiem, jaki jest jego cel. Inna sprawa to pytanie, czy gdybym ja był reżyserem, potrafiłbym wyjaśnić. Rozpowszechniono wiadomości, że chciałem wykupić film za 600 tys. zł i zabronić rozpowszechniać go. To nieprawda. Skąd bym wziął tyle pieniędzy?

Niemen, najlepiej zarabiający w Polsce piosenkarz, nie ma pieniędzy. To fakt. Ten człowiek od lat wszystkie zarobki pakuje w zakup instrumentów muzycznych i aparatury. Ostatnio nabył organy elektroniczne. Do tej pory nie miał mieszkania, tułając się od hotelu do hotelu. Zdobył je w bieżącym roku, teraz dopiero będzie się meblował — i to go bardzo cieszy. Ten zawodowy podróżnik jest wielkim domatorem, lubi sprzątać, gotować, nawet szyc — kupił sobie wielofunkcyjnego „Lucznika”. Nie ma luksusowego „Mercedesa”, jak doniósł jeden z tygodników. Niedawno dopiero zespół „Niemen Enigmatic” nabył mikrobus, którym będzie podróżował po Włoszech, co wynosi taniej niż kolej czy autobus. Nie ma też Niemen rozlicznych garniturów, a jedynie te swoje barwne stroje, w których występuje i chodzi po ulicy.

Chodzimy po ulicy, pora jest popołudniowa. Czasem Niemena zaczepia ktoś złośliwy, lecz przede wszystkim otaczają go wielbiciele i wielbiciele, lowcy autografów, przyciągnięci fotoamatorki. To jest miłe, lecz na dłuższą metę nie do wytrzymania. Uciekamy do hotelu. Zmęczony mnie ten spacer. Jak on wytrzymuje tak lata, dzień po dniu?

— W prasie zarzucił mi ktoś, że zgrzywam się na pesymistę, że to jest kokieteria, bo przecież mam powodzenie u publiczności — ciągnie Niemen. — A ja rzeczywiście nie czuję się całkiem szczęśliwy. Zdaję sobie sprawę, że można by to o wiele lepiej zaistnieć, a ja nie zaśpiewam, bo nie mogę. Ludzie lecają na Księżyc — a ja nie polecę. Nie zobaczę nawet wszystkich ciekawych miejsc na świecie, wartych zobaczenia. Mam co jeść, ale w Nigerii umierają z głodu dzieci — i nie jestem w stanie im pomóc. W Wietnamie trwa wojna. Ciągnie się wyścig zbrojeń. Jeśli nie śpiewać nawet bezpośrednio o tym, to chyba jednak powinienem w jakiś sposób przedstawić klimat moralny świata, w którym istnieją takie wspaniałe możliwości, a tymczasem ludzie bezcelowo sobie szkoda, podgryzają się, są pełni zawiści. Staram się solidnie pracować na próbach, a potem najlepiej jak mogę śpiewać, to mi daje jakiś spokój. Lecz przecież jestem śmiertelny. Ile lat będę żył i czy zrobię wszystko co powinienem? — myśl o tym baczny mi ten spokój. Jak zaśpiewać o tych sprawach, żeby poruszyć ludzi?

Romuald Wiśniewski

Tadeusz Olszewski

Maria Józefacka

Zbigniew Ślęczka

amulet

gdzie milkną wiersze

wyprosił dla mnie amulet  
że się kula nie ima

tym gorzej

bowiem to bezpieczeństwo

co potwierdzam z gazet

że nie u mnie  
w moim kraju  
w porządku

ale to właśnie mnie

w osobie własnej

z przywilejami

honoru

pozwoleniem obowiązków

jakiejkolwiek będzie

rozstrzelują bezkarnie na wszystkich frontach

amulet chroni od ciosu

nie od świadomości

ostrzy poczuje winy

nietykalność świadków

lecz z bujnych plewliaw chwastów niewielką posiadłość

od wszelkiego przypadku

zatrząskuję bramy

Kobietę moje zaplakały cicho  
gdy na pojedynku wyzwałem sam siebie  
— wiedziały dobrze — któryś ze mnie umrze

Na początek stanąłem Ja Pierwszy  
a że się bałem więc szepotałem wiersze  
które wszystkie brały za cichą modlitwę

A dalej — w prostej linii — stanąłem Ja Drugi  
smarowałem skórę błyszczącą oliwą  
i pięknie się od ciała odbijało słońce

Strzałów nie pamiętam  
Potem mi mówiono że poeta ocalał  
A wszystkie kobiety  
poszły szukać za miastem spoconych żołnierzy

Zalesie Dolne

Kamena str. 4

Lublin

Głębok



# „Phantazma” Różyckiego i Mazurka

Ireneusz J. Kamiński

**D**ZWONY pogrzebowe jeszcze milczą, ale kto wie, czy w najbliższych latach występująca własnie generacja artystów nie pociągnie mocno za ich sznury, obwieszając koniec tradycyjnego, prostokątnego obrazu, jako autonomicznego środka i obszaru twórczej refleksji. Co prawda obrazy takie powstają jeszcze w setkach i tysiącach egzemplarzy, różnymi rzadkami wypełniają ściany sal wystawowych, mają swoją publiczność, przyzwyczajoną do kontemplacji statycznego pod względem fizycznym, w zasadzie niezmiennego obiektu. Znajdują się wśród nich dzieła wybitne, ale trudno opędzić się od smutnego wrażenia, że nawet one, skonfrontowane z wizualnym bogactwem i dynamiczną ruchliwością współczesnego świata, okazują się mało sugestywne, połowiczne w działaniu.

Nieprzypadkowo więc coraz częściej pojawiają się pokazy (nie wystawy) plastyczne, w których obraz pełni rolę jednego z wielu elementów, składających się na integralnie powiązaną strukturę wyrazową. Obrazy i fotografie czy w ogóle jakieś materialne znaki, płaszczyznowe, ale także przestrzenne, uczestniczą w organizacji większej przestrzeni, za sprawą sterowanego światła niktą z pola widzenia lub unaczyniają się, aktywizują, współtworzą czaso-przestrzenny spektakl. Istotą tych pokazów jest więc ruchliwość i zmienność, wizualna wielopostaciowość, na której podłożu mogą rozwijać się różnorodne wątki ideowe, rzecz upraszczając — treściowe.

Sytuacja widza, który znalazł się w tak zorganizowanym przez autora miejscu, przypomina nocny spacer po wielkomiejskiej ulicy, gdzie obowiązują zasady ruchu drogowego, gdzie zapalające się i gasnące neony akcentują różne fragmenty otoczenia. Autorzy takich sytuacji wykorzystują więc m. in. pewien zespół elementów i reguł kształtujących ruch współczesnego życia. Dobrym tego przykładem była „Ikonosfera” Zbigniewa Dłubaka w warszawskiej „Galerii Współczesnej” Boguckich, której poszczególne fragmenty przypominały uliczne słupy ogłoszeniowe upstrzone fotografiami reklamowymi.

„Galeria Współczesna” posiada zresztą już pewną tradycję w urządzaniu tego typu — zmiennych w czasie i przestrzeni — pokazów, integrujących różne środki i metody wizualnego działania. Przymowniejszy tylko „Code” eks-lublinianina Włodzimierza Borowskiego czy „Mi-raże” Romana Artymskiego. U Boguckich odbywały się także pokazy na podłożu plastyki i muzyki. Jeden z nich — „Phantazma” Ro-

mana Różyckiego i Bohdana Mazurka — przeniesiono następnie do sali lubelskiego Biura Wystaw Artystycznych, które — dodajmy na marginesie — zaczyna coraz częściej eksponować najbardziej aktualne dokonania polskiej sztuki nowoczesnej, za co mu dobre słowo na dalszą drogę (odpukać!).

„Phantazma” mieści się w ramach „zdarzeń audiowizualnych” i oparta jest głównie na malarstwie, ale malarstwo zmieniającym się w czasie. Na gruncie konwencjonalnej w istocie realizacji malarzkiej i równie tradycyjnego sposobu eksponowania obrazów (rzadkami na ścianach) powstaje przecięt coś w rodzaju plastyczno-muzycznego seansu. Strumień światła z lampy wzbudzącej (ultrafiolet) wytrąca obrazy — pokryte m. in. farbami fluoryzującymi — z formalnej jednoznaczności, rozjarza i bogaci ich powierzeźnie. Cały pokaz trwa ok. 5 minut; od ekspozycji w normalnym świetle, przez narastającą ciemność punktowaną fluoryzującymi za sprawą owej lampy plótnami, do kolejnego rozjaśnienia wnętrza. W dramatycznej metamorfozie obrazów Różyckiego uczestniczy muzyka Mazurka, reżysera w Studio Eksperymentalnym Polskiego Radia. Efekt tego audiowizualnego działania mocno rysuje się w pamięci i wyobraźni.

Różycki, absolwent warszawskiej ASP, urodzony w 1942 r., oraz Mazurek (rocznik 1937), który ukończył stołeczną PWSM, należą do młodej generacji twórców, integrujących tradycyjne dyscypliny sztuki w nowe jej zjawiska, wykorzystujących w tym celu tworzywa konwencjonalne i te, które podsuwane są przez współczesne techniki i technologie. Dostęp do tych ostatnich nie jest jednak najłatwiejszy, co nierazkto prowadzi do redukcowania wcześniej ustalonych zamysłów twórczych.

Ten typ działania artystycznego zmierza też do innej integracji — między sztuką i nauką. Przyszłościowe koncepcje Różyckiego i Mazurka domagają się np. uwagi i dopracowania kogoś, kto orientuje się dogłębnie w problematyce elektroniki. Wieloosobowe zespoły pojawiają się zresztą na obszarze sztuki współczesnej coraz częściej, grupując specjalistów z różnych dziedzin, tradycyjnie oddzielanych od szeroko nawet pojmowanej humanistyki. Zanika postać artysty — samotnego demurga, który w czterech ścianach pracowni wyczarowywał na czworobocznym płótnie własne wizje. Co nie znaczy, że nadziedził kres czarów. Czyni się je nadal, tylko przy pomocy innych środków i metod, wynikających z charakteru końca lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku.

**O**BEZNIE robię przy plach tarasowych. Pomimo przetych 32 lat nieraz mi się śni, że jestem kawalerzystą, galopuję pod wiatr albo że przepływamy zaciędnym przez rzekę i wtedy, choć to sen tylko, to pamiętam, żeby z podnieć z instrukcją trzy-mać nie za strzemienia a za jarzemko! Ale to tylko wspomnienie i tęsknota, aż się przed żoną wstyd przyznać...

Dlaczego ludzie piszą pamiętniki? Józef Paul z Zamościa, autor cytowanego fragmentu wspomnień, napisał swoją relację po prostu z potrzeby serca i z tęsknoty za heroiczną młodością. Był ułanem — dźiał jest robotnikiem tartaczynym. Umilowanie żołnierskiego trudu, przeżycia z lat wojny i partyzantki, wracając do niego często po dniu „szarej”, wyczerpującej pracy, pełne delikatnych barw i sentymentu. Intensywność tego przeżycia wodzi niesprawna ręka robotnika, kreślącego tak piękne i szczerze obrazy. Jak wyrazić kształtując się w jego wspomnieniach narodowy charakter Polaka lat międzywojennych!

Ale istnieją i inne przyczyny, skłaniające ludzi do spisywania swych wspomnień. Jeden z pierwszych polskich pamiętników — rzy okresu staropolskiego, Samuel

nowy, pamiętnik polityka i fizyka Benjamina Franklina, wspomnienia Charlesa de Gaulle'a, autobiografia Charlesa Chaplina... I w polskiej literaturze pamiętnikarskiej nie brak dzieł o wartościach ponadnarodowych. Zaliczyć by do nich można np. wspomniane pamiętniki Paska czy choćby dzienniki Stefana Żeromskiego, dzieła przejmujące szczerością i siłą wyrazu.

Pamiętnikarstwo spełnia, i pogląd ten wyrażają zarówno historycy jak i socjologowie, różnorakie funkcje poznawcze o charakterze antropologicznym w najszerszym tego słowa znaczeniu. To, co w nich jest jednak najwartościowsze, obok prostej warstwy faktologicznej, to przede wszystkim oddanie klimatu, barwy i psychologii epoki, a więc tego, co przy nawet największym darze intuicji umyka zazwyczaj „szkieletu medycy”. W tej mierze pamiętnik (a jeszcze w większej mierze dziennik) mówi więcej o określonej epoce, niż wielotomowe dzieła uczonych. Trawstując powieźdzenie francuskiego historyka Blocha można by powiedzieć, że to właśnie pamiętnik pobudza najbardziej naszą wyobraźnię historyczną, a obraz przez niego stworzony nabiera pod ręką wspomniającego delikatnych uroków niezwykłości.

## Sprawy historyków

Zygmunt Mańkowski

# „Sam sobie gędę...”

Maskiewicz, za motto swego dzieła przyjął po prostu: Sam sobie gędę, sam wesół będę, a Jakub Łoś, pamiętnikarz siedemnastowieczny, rozpoczął swą pracę od słów: Na wieczną potomności pamiętkę zdało mi się zaznaczyć, co się którego roku w Polsce działo i czego po większej części sam jestem oczywistym świadkiem. Jedni więc piszą przede wszystkim po to, by ocalić od zapomnienia ważne z ich punktu widzenia fakty i wydarzenia, których byli współautorami lub świadkami, inni z troski o właściwą ocenę i zrozumienie intencji i motywów ich czynów, jeszcze inni z niewyżytych skłonności literackich.

Pamiętnikarstwo (zwane niekiedy memuarystyką) towarzyszyło ludzkości niemal od zarania jej „pisannej” cywilizacji. Bowiem według współczesnej definicji pamiętnik to utwór, w którym autor pisze o przeszłości (choćby najładniej) na podstawie własnych bezpośrednich czy też pośrednich wspomnień. A tego rodzaju przekazy powstały (i zachowały się) zarówno w starożytnym Egipcie, jak i progu średniowiecza. W Polsce za pierwociny pamiętnikarskie uznawane są przez niektórych badaczy „Zywot człowieka poczciwego” Mikołaja Reja z Nagłowic oraz zapiska biograficzna (curriculum vitae) Błernata z Lublina, a więc dzieła z XV i XVI wieku. Moda na pamiętniki zapanowała jednak tu naprawdę dopiero w XVII i XVIII wieku. Wówczas to powstały najpiękniejsze polskie „memuary” — Jana Chryzostoma Paska, Jerdrzeja Kitowicza, Juliana Ursyna Niemcewicza, Kajetana Koźmiana, Jana Kilińskiego i inne. Wydana w 1928 roku przez A. Maliszewskiego „Bibliografia pamiętników polskich” objęła już około 6 tysięcy pozycji wydanych drukiem oraz ponad tysiąc przechowywanych jako rękopisy w archiwach. Obecnie zaś badacze tego zjawiska skłonni są oceniać liczbę zintwentaryzowanych pamiętników, wspomnień i relacji na 250 tysięcy!

Do tak znacznego wzrostu przekazów wspomnieniowych przyczyniło się wcale nie tylko zainteresowanie „literaturą faktu”, ale przede wszystkim systematyczne rozpisywanie konkursów, ankietyzacja wybranych środowisk oraz różne inne zabiegi historyków, socjologów i instytucji społecznych, politycznych i naukowych. Jedynie działający w Warszawie Zakład Historii Partii przy KC PZPR dzięki usilnym i seście zaplanowanym zabiegom doprowadził do zgromadzenia w swym archiwum około 30 tysięcy relacji i wspomnień działy rewołucyjnych i robotniczych.

Pamiętniki piszą różni ludzie — chłopci i robotnicy, działacze polityczni, nauczyciele i artyści, bohaterowie, awanturnicy i zbrodniarze. Niektóre z pamiętników weszły na trwałe do skarbcza arcydzieł ogólnoludzkich — „Zywot własny” Benvenuto Celliniego, dziennik angielskiego kupca z XVII wieku Samuela Pepysa, wyznania Jena Jacquesa Rousseau, wspomnienia Casa-

Nie będzie chyba przesadą jeśli powiem, że najbardziej cenią pamiętniki historycy (zarówno ci od dzieł w ogóle jak i od literatury). Uważają oni pamiętniki za „źródło”, choć nie zawsze dodają, że jest to przekaz wysoce subiektywny, wymagający szczególnie wyostrzonych zabiegów krytyczno-analitycznych. W zasadzie pamiętnikarstwo stanowi samodzielną, autonomiczną gałąź literatury i wiele przekazów wspomnieniowych nie poddaje się jakimkolwiek klasyfikacjom i definicjom. Biorąc na warsztat pamiętnik — historyk, jak mawiał jeden ze źródłoznawców, musi położyć go na łożu tortur, by tu wymusić z niego w mękach prawdę i tylko prawdę (podobne zabiegi obowiązują zresztą wobec każdego źródła).

W Polsce Ludowej pamiętnikarstwo zrobiło swoistą karierę. Specyficzność naszej najnowszej historii, „egzotyka” (nielegalność organizacji rewołucyjnych przed wojną, ruch oporu), zniszczenie zasobów archiwalnych oraz niespotykany w dziejach naszego narodu awans upośledzonych dotąd warstw społecznych — wszystko to sprawiło, że osobiste relacje historyczne, dzienniki, wspomnienia i pamiętniki nabrały niezwykle wartości poznawczej. Dzięki nim właśnie, mimo braku oryginalnych dokumentów, historyk może podjąć trud rekonstrukcji rzeczywistości, tak niedostępnej i trudnej dla jego warsztatu. A jest to zadanie pilne i społecznie pierwszorzędne. Rozumiano to już u progu Polski Ludowej. W 1945 roku do spisywania, zbierania i ewidencjonowania wspomnień wzywali m. in. wybitny historyk polski Jan Rutkowski oraz Centralna Rada Związków Zawodowych. Już wówczas rozpisano pierwsze konkursy na pamiętniki, nawiązując do licznych tradycji lat przedwojennych, takich np. jak zainspirowane przez wybitnego socjologa Józefa Chalasińskiego zebranie pamiętników chłopów polskich (wydane drukiem są przedmiotem nieustannych studiów).

Obecnie pamiętniki stanowią przedmiot zainteresowania szerokich kręgów czytelników. Na półkach księgarskich poszukiwane są one bardziej niż powieści czy zbiory poezji. Niektóre z wydanych po wojnie osiągnęły rekordowe nakłady (np. pamiętnik Marcinjan Fornalskiego, wspomnienia wodców partyzanckich Mieczysława Moczarsa, Mikołaja Muchy-Kunickiego, T. Szumberka-Hyehtera oraz inne). Dlatego właśnie cenna stała się inicjatywa grupy polskich socjologów i historyków, poparta przez liczne organizacje społeczne i polityczne, powołania Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa, które przed kilku tygodniami powstało w Warszawie. Zajmie się ono nie tylko „teoriopoznawczą” sferą tej galezi twórczości, ale i propagowaniem oraz, co ważniejsze, zachęcaniem do pisania pamiętników w szerokich kręgach społecznych (np. w środowiskach polskich za granicą).

Taka więc budzi się ogólniejsza refleksja nad tą ważną i pożyteczną dziedziną: czytamy i piszmy pamiętniki. Są one bowiem trwałymi i ciekawymi śladami życia pokoleń naszego narodu.

# Wigilia w Woldenbergu

Dokończenie ze str. 1

plotka głosiła, że „dzięki” pluskwom nie ma wzy, co z kolei chroni przed tyfusem, więc właściwie w naszym interesie leży nie zwalczanie, lecz pielęgnowanie tej szczególnej symboliki.

Choinka... Nie było żadnej choinki. Bo niby skąd? Sztaba złota naszego obozowego banku — paczka „Camell”, zdolna naklonić kilku strażników, aby pod mundurami przenieśli nieco marnych gałązek karłowatych sosenek. Sprawiedliwie więc rozdzielono pomiędzy izby po kilkanaście zrudziałych, pozabawionych zapachu szpilek. Posiadanie świeczek było surowo zabronione, zresztą konfiskowano je przy kontroli paczek. Więc do jakiejś puszki każdy wlał po kilkanaście kropel oliwy od sardynek z ostatniej paczki Między-narodowego Czerwonego Krzyża. Chybotliwy, skwierczący płomykczek nikał w świetle elektrycznej żarówki, której zgasić nie było wolno do zwykłej godziny. Ale w naszych oczach stanowił on dowód kontynuacji tradycji, którą wyniosło się z rodzinnego domu.

Wstał najstarszy stopniem — właśnie ów kapitan od losowania śledziowych ochłapów. Wyprostował się jak na musztrze, usłował na przeżył zwiotczale mięśnie. Potem, jakby zezując, jednym okiem spraw-

dził, czy zrudziałe baretki orderów są zaslonyte, a drugim, czy okna są zaslonyte — nawet mały promyk światła upoważniał każdego strażnika do strzelania w okno bez uprzedzenia.

— Panowie! Już po raz szósty przyszło nam spędzić święta w obozie. Czy pamiętacie te pierwsze, gdy jeszcze nie chcieliśmy wierzyć, że to wszystko co się stało, było prawdziwe...

Tak, to było prawdziwe. Mieszkałem wtedy w Warszawie przy Al. Wojska Polskiego 4. W połowie grudnia udałem się do znajomych, na ul. Mickiewicza. I tam właśnie odnalazłem trzej granatowy policjanci, dość uprzejmie zapraszając do pobliskiego komisariatu. Poszedłem bez większych obaw i dopiero na miejscu okazało się, że jestem aresztowany na polecenie gestapo. Do dziś nie wiem, dlaczego gestapowcy nie przyszły sami. Przez kilka dni siedziałem samotnie w areszcie komisariatu, potem przewieziono mnie do więzienia kryminalnego przy ul. Danilowiczowskiej.

Dopiero tam dowiedziałem się, że jestem podejrzanym o to, iż byłem oficerem w tej kompanii II Batalionu Robotniczego Obrony Warszawy, która m. in. dostarczała ochotników do akcji „S”. W wigilię wzięli odbyło się pierwsze przesłuchanie w śledzible gestapo przy Al. Szucha. Samą wigilię spędziłem znów w więzieniu przy ul. Danilowiczowskiej, ale ten dzień do dzisiaj w moim życiu nie istnieje...

— ... drugie święta spędziłem już w jako tako urządzonym obozie, otrzymaliśmy listy od rodzin, jeżeli żyły...

Tak, ten hotel w Chełmie był rzeczywicie jako tako urządzony. Od pół roku Stanisław Lamparski — czyli ja — zaopatrywał sklepy w centrum Lublina w cukierki wędłowskie oraz chałwę od Greka Kokkinakisa. Dwa dni przed ową wigilią na dworcu lubelskim była jakaś łapanka. Mając — oczywiście fałszywy — bilet wolnej jazdy, pojechałem aż do Chełma. Obawiając się wyjść na ulicę małego miasta, w którym nie znalazłem nikogo, przez dwa dni siedziałem w hotelowym pokoju, żywiąc się wyłącznie cukierkami. Chałwy wtedy nie miałem.

— ... przyzwyczailiśmy się już do składania sobie życzeń, że to ostatnie święta w obozie, że najdalej już za rok będziemy w wolnym kraju, że... Nie, niee, nieee! My tam, w Warszawie nie mogliśmy się do niczego przyzwyczaić. Tu, w obozie, mówiono, że my żyjemy na wolności. Prawda, że nie było drutów kolczastych, ale w każdej minucie można było za nie powędrować. I to nie do obozu jenieckiego, gdzie ostatecznie obowiązywały jakieś przepisy, ale do obozu koncentracyjnego, do więzienia czy po prostu na szubienicę lub wprost pod ścianę...

— Nasi kolezdy z Powstania Warszawskiego są dla nas kawałkiem ojczyzny, przywieźli zapach naszych lasów i pól, gór i morza, zapach przepojony jeszcze krwią i dymem

prochu, ale tym razem koniec tej straszliwej wojny...

Straszliwej? Co oni tu, odcięci od świata, mogli wiedzieć o tej wojnie? Wrzesień był okropny, ale przecież następne miesiące i lata były coraz straszliwsze.

Powstanie? Jakże łatwo było powiększyć owe pół miliona zabitych w ruinach Warszawy. Pamiętam ten październikowy dzień. Ciśsza, kompletna cisza... Umilkły karabiny, em-pi, nie spadały bomby, uspokoiły się ryczące krowy. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy można było przejść spokojnie ulicą. Ulicą? Rzadko gdzie były kawałki tych ulic. Tuż za rogiem Marszałkowskiej i Koszykowej gruz na jezdni sięgał wyżej niż kikuty domów po obu stronach. Na Hożej, gdzie przez pewien czas mieszałem, całą szerokość jezdni zajmował lej po pociągu z działa kolejowego. Trzy domy, w tym „mój”, stanowiły jedno rumowisko...

Najtrudniejsza była decyzja jak wyjść: jako żołnier, lekarz czy sanitariusz, lub może zwykły cywil? Niemcy podpisali w akcie kapitulacyjnym, że będą nas, powstańców, uważali za kombatantów. Ale czy dotrzymają słowa? Przecież już tyle razy je złamał!

Szliśmy niekończącym się wężem przez Kruczą, Jerozolimskie, Marszałkowską, Chmielną i Grójecką. Rzadko kto miał mundur, ale wszyscy bialo-czerwone opaski. Nasze dzielne sanitariuszki w marszu wzywały gwizdki. Zdawało nam się, że będą one gwarancją względnego bezpieczeństwa. Miasto było martwe, nie istniało. Gdzieś na Chmielnej z palącego się domu ktoś wyrzucił kilka przedmiotów. Mnie na głowę spadł mały kuszczek barani. Był jedynym ciepłym okryciem i w tę i w dwie następne zimy.

— ... Jestem głęboko przekonany, proszę panów, że już niedługo hitlerowcy będą składali broń. Walka jest dla nich beznadziejna. Możemy tylko żalować, że to nie my będziemy od nich odbierać kapitulację...

Szliśmy w milczeniu przez puste ulice, zawalone gruzem, szkłem, przedzielone wyrwami i resztkami barykad. Gdzieś w połowie Grójeckiej od czoła narastał szum — przed Szczęśliwicką, ma przyjąc naszą defiladę generał „Monter”. Wybuchła burza. Nie będziemy — to on rozmontował Warszawę — dopiero teraz się pokazuje — tak czy inaczej jest w tej chwili symbolem — to nie przed nim, a przed generałkiem mundurem polskiego żołnierza...

Broń składaliśmy na kwadratowym podwórku domu akademickiego przy pl. Narutowicza. Tuż pod oknem pokoju, w którym kiedyś mieszkałem. Rzucaliśmy ją kolejno, salutując przed odejściem. Nie było tego wiele. Ze skromnego arsenału powstańczego część została już zniszczona w Warszawie, ta reszta nie nadawała się do użytku, chyba nawet do naprawy. Lufa mojego „Nagana” była przewiercona jakimś świderem. Asystował jakiś pułkownik niemiecki. Jednemu z kolegów, gdy chciał rzucić lotniczy kordzik, zatrzymał rękę: konwencja genewska zezwala na zatrzymanie w obozie białej broni ozdobnej. Wyjątkowo przyzwolony człowiek czy specyjalna perfidia? Za posiadanie tego kordzika podporucznik lotnictwa został na stacji kolejowej w Łambor-dorfe (Łambinowicach) pobity do nieprzytomności przez chmarę wehrmachtowców.

— ... przez trzy dni świąt będziemy rozmyślać...

Trzy dni spędziłem w obozie przejściowym w Ożarowie. Bez je-



# Piewca Tatr

(W 70 rocznicę urodzin J. M. Rytarda)

Kazimierz Andrzej Jaworski



Fot. Helena Rytard

**J**ERZY Mieczysław Rytard (właściwie Mieczysław Kozłowski) ukończył 8 listopada b. r. 70 lat.

Rozpoczął swą działalność literacką w r. 1918 debiutując na otwarciu kawiarni poetów Pica-dora. Związany z tą grupą ogłaszał w latach 1920-1923 utwory w „Skamandrze” (opowiadania: „Conte Cagliostro” i „Szalona ballada”, poezje: „Ela” i „Demeter”, przekład wiersza Piotra Orzeszyna „Nadpryrozdony”, a przede wszystkim powieść „Wniebowstąpienie”). Drukował poza tym w „Zdrowiu” i almanachu „Brzaak epoki”, w „Narodzie” (dodatku liter.-artyst. pod red. Tadeusza Szpotńskiego w r. 1921 — dwa opowiadania: „Kilka chwil panny Agnieszki Gabler” i „Bal jesienny”), w „Drodze”, „Kamencie”, „Pionie”, „Wiadomościach Literackich”, „Świecie”, „Tygodniku Ilustrowanym”, „Wiadomościach” i innych pismach. Przed wojną współpracował z Polskim Radio. Przetłumaczył utwory poetyckie J. A. Rimbauda (współz z Iwaszkiewiczem). Brał też udział w wieczorach poświęconych poezji tego awangardzisty francuskiego, wraz z Iwaszkiewiczem, Tuwimem, Jara-czem i Marią Morską.

Z wcześniejszego okresu twórczości Rytarda najwyższym osiągnięciem jest powieść poetycka „Wniebowstąpienie”. Dla określenia jej gatunku konieczny jest ten epitet, gdyż w niczym nie przypomina ona powieści w potocznym tego słowa znaczeniu. Fabuła jej jest niska i dość niejasna. Główna postać, „bohater”, to pełen sił witalnych młodzieniec, wyżywający się w najrozmaitszych przygodach, którego dążenia życiowe są nieokreślone. Ideową stroną „Wniebowstąpienia” określił Witkacy (esej w nr-ze 37 „Skamandra”) z właściwą mu dosadnością jako „bydlęcą metafizykę”, upatrując w autorze niebezpieczeństwo „antyintelektualizmu”. Na wiążącą do pedu jego „bohatera” na koniu pisze tam m.in. „Rage de vitesse — wściekła oszczędność motorycznych i poczucie wolnej przestrzeni jest jedyną wyraźną cechą jego dość fantastycznej psychologii. Ścieżki, szosy, koleje działają nań wprost magnetycznie, a przestrzeń wysza go w postaci bezprzykładnej rozszalałej protoplazmy”. A dalej mówi o „czysto-zwierzęco-zmysłowym stosunku autora do wszystkiego, co go otacza (...). Świat jest dlań faktycznie luźnie wiązana „kupa elementów”, sumą zapachów, dotknięć, smaków, dźwięków a nade wszystko barw. W barwach Rytard jest naprawdę mistrzem.

Celowo przytoczyłem tu zdania o tej „sumie” doznań zmysłowych poety we „Wniebowstąpieniu”, gdyż trafność spostrzeżeń Witkiewicza potwierdzają i współcześnie pisane wiersze Rytarda (nawet „kolorowe” tytuły niektórych z nich: „Dekret tęczyowy”, „Szkarslatny życiorys”) i wydany w r. 1928 zbiorek poetycki „Noże wiosny”, a w późniejszym okresie jego twórczości — wspaniałe opisy wiatru halnego. Śmiesznie twierdzić, że takie opowiadania górskie, jak „Nie będzie ciszy tej nocy” czy „Białe wieże” należą pod tym względem do najpiękniejszych kart naszej literatury. Halny jest przedstawiony tak sugestywnie, że go się słyszy, widzi i czuje niemal namacalnie. Niech o tym zaświadcza te fragmenty:

Reple falują. Gubalówka zmienia dźwięki i odbija szum ku strzępkom chmur ponad nią szumiącym. W doliny spadło pierwsze przyziemne zacięcie poświat jak syk obryzanej żmii. Kłębowisko nad szczytami rośnie i pęcznieje, nie słychać już potoków, zatarły się wszystkie plany. Kopała halnego zdobywa sobie pomatu, z trudem, przestrzeń na niebie. Niewidoczna siła cofa ją ciągle w tył, poza sedynowoc szczyty z rykiem i oporem.

A dalej: Podmuchy wiatru bijące w twarz przyciskały zamykające się instynktownie powieki i dopóki nie zmieniły pedu, nie mogliśmy ich otworzyć. Gdy przycichło, oprzytom niauszły trochę znaleźliśmy się kilkoma skokami przy płocie. Trzyma-

jąc się drgających jak struny żerdki można było łatwiej zachować równowagę. Od gór spadało wycie wiatru o tak głębokich, niskich tonach i tak potężnym napięciu, jakby idące gdzieś z międzywieznej przestrzeni — szum roznoszący wszelki opór materii, przenikający do dna ziemi i wszystkie otaczające ją sfery. Potęgi tego głuchego hukowi nie da się porównać z żadnym dźwiękiem (...). Ten szum był wszędzie, nie miał granic, szedł z powietrza, przebiegał się przez nas i słyszał go było, jak jednocześnie

**Jerzy Mieczysław Rytard**

## Świętojaństwo

Za dużo was tu żyje razem  
Bez drzew, bez chmur.  
Ludzie, którzy nie widzieli  
Ceglanych słońc wśród gór.

Patrzcie, niebo jest ciężkie od gwiazd.  
Gdy się położą na łące głowę,  
Hej, rozbiegnijcie się wszyscy  
I odnajdziecie swe noce czerwcowe.

## Zwycięstwo

Oddechem nieba  
Jestem karmiony.

W skalistych piętrach  
Mroźnych gór  
Jęk kosodrzewin  
Mnie złowil.

Gdy czas mój przyjdzie,  
Jak wiatr skłębiony  
W dźwięk się rozplynę,  
W znak się zamienię,  
Który świat złobil.

## Ogrody dobroci

Podnieśmy oczy do góry.  
Niebo,  
Niebo i chmury.  
Światła się kołyszą,  
Biją pioruny.

A my, zgorączkowani i drżący  
Nie wiemy,  
Czy w dniu jutrzejszym  
Piekło czy niebo się zbliża?  
Lecz wiemy, że wszystko poniżej,  
Ze wszystko ubliża  
Człowiekowi.

Z kamienia, betonu i stali,  
Pehani  
Pragnieniem  
Na „dumną” drogę,  
Wybudowaliśmy  
W poprzek dni swoich  
Cieśzar  
Pod nogi własne  
Kłody.

Million aeropłanów,  
Milliard samochodów,  
Myślimy:  
Przyszłość się nam ozłoci.  
A gdzie jest mlejsce  
Na wielkie ciche ogrody  
Jedynę prawdziwej dobroci?  
1925

## Lato

Siedmiobarwe przyszło  
i kłosiste,  
Urodzone z dzikiego ryzka,  
Lato dźwięczne, jasne  
i przejrzyste  
Jak jarmarczyna, wędrowna  
muzyka.

Drugi pitem, gościńce tykałem,  
Szare góry bawily się ze mną,  
Mroźnym wodom cały się  
oddawałem,  
Słowom, które treść mają  
podziemną.

Karawano nadwiślańskich  
wiosen,  
Nie wyprzedzą się rasy  
bezpańskie.  
Nie z kaktusów, z siwych plję  
sosen  
Swe żywice, swe życie  
pogańskie!

przychodził, opluwał i odlatywał. Niby jakiś kosmiczny eter wypełniał wszystko dźwięk o nieoparnej skali.

Cytować właściwie należałoby opowiadania w całości. Odałem więc ciekawych do wydanej przez PIW w r. 1959 książki „Na wielkiej grani — Wniebowstąpienie”, gdzie m. in. znajdują się oba te arcydzieła. Po raz pierwszy wydała je w r. 1934 „Droga” w zbiorze „Dalekie spojrzenie”. Szkoda, że właśnie tytułowego opowiadania, osnutego na tle bytności Conrada w Zakopanem w r. 1914, gdzie jak wiadomo, zastał go wybuch wojny, nie wznowiono dotychczas. A przecież przeżywamy teraz wyraźnie wzmożone zainteresowanie życiem i twórczością znakomitego pisarza angielskiego — Polaka, o czym świadczą ostatnio wydane jego „Listy”, „Kronika rodzinna” napisana przez syna — Borysa czy choćby liczne reminiscencje Chorońskiego w jego ostatniej powieści „Słowacki wysp tropikalnych”.

Ale Rytard to nie tylko poeta i autor opowiadań, w których wielbi piękno przyrody, jej pierwotność, tężytno fizyczną i sport pozwalający zespelić się z naturą. On, który na końcu „Wniebowstąpienia” zwrócił się z patetyczną apostrofą do gór: *Wy, turnie najwyższe, które kocham jak srebra święte* — jest autorem dwóch doskonałych powieści dla młodzieży: „Koleba na Hliniku” i „Na białej grani”, wznowionych po wojnie pod wspólnym tytułem „W pięknych górach”. Należą one do najlepszych obok klasycznych „Róży bez koleców” i „W góry, w góry, miły bracie” utworów popularizujących wiedzę o Tatrach. Ciekawa fabuła przygodowa łączy się w nich z informacjami o folklorze podhalańskim i pięknymi opisaniami krajobrazów górskich. Nie dorównują tym tatrzańskim powieściom mniej interesujące — czarnohórskie: „Wilczur z Prohyby” i „Wierchowina”. Z folklorem górskim łączy się też sztuka Rytarda „Podhale tańczy”, grana z dużym powodzeniem w r. 1930 w Ateneum i libretto „Harnasi” Szymanowskiego, włącz wznawianych w naszych operach.

Po wojnie ukazały się na scenie utwory Rytarda: „Zielone święta”, „Ziemia” (według „Placówki” Prusa) i „Pensja pani Latter”, adaptacja współz z Iwaszkiewiczem i tomu „Emancypantek” oraz pełna pogody beskidzka powieść młodzieżowa „Barba”, w której w przeciwieństwie do „W pięknych górach”, gdzie występują chłopcy, główną postacią jest rozwichrzony siedemnastoletni podolek.

Bogate życie Rytarda, który poprzez matkę, świetną aktorkę Iżę Kozłowską, otarł się o teatr, poety, prozaka, sportowca, taternika, miłośnika folkloru podhalańskiego — częściowo zawarte jest w jego pamiętniku „Dwanaście rozdziałów”. Akcja wspomnień rozgrywa się w Krakowie, Kijowie, Warszawie, Zakopanem, Tatrach, Wrochelic, Zabnem, Paryżu itd. Poeta znał wielu wybitnych ludzi, z niektórymi się przyjaźnił. Na kartach jego pamiętnika przesuwa się cała galeria interesujących postaci — pisarzy: obu Witkiewiczów, ojca i syna, Iwaszkiewicza, T. Czyżewskiego, Wierzyńskiego, Mieczysławskiego, Prziwieckiego, red. Grydzewskiego i in.; ludzi teatru: Wysokiej, Osterwiny, Osterwy, Jaracza, Solskiego, Kamińskiego, Horzyce i in.; taterników, jak Zaruski; artystów: Karola Szymanowskiego, Stryjeńskiego, Niesiołowskiego, Aug. Zamojskiego i in.; górali: B. Obrochty i Jędrzeja Marusarza.

Dlaczego Rytard nie wydał dotąd tych bardzo ciekawych (znanych mi z maszynopisu) wspomnień — zwłaszcza dzisiaj, kiedy podobna literatura cieszy się taką popytnością? Fragmenty pamiętnika drukowała przed paru laty „Kamena”.

Jaka szkoda, że ten pisarz od dłuższego czasu już milczy. Tak pięknie swego czasu złożył hołd samotnej podróży francuskiego żeglarsza przez Atlantyk („Tęcza Gerbaulta”), dziś mógłby uczyć daleko większe osiągnięcia naszego Telliga. A może jeszcze sprawi nam niespodziankę?

P. S. Ciekawostka: w dwóch zestykach „Skamandra” za r. 1921 znajdujemy rozdział powieści „Jack, Isy i Sasza”, napisaną przez J. Iwaszkiewicza i J. M. Rytarda. Zdaje się, że obaj autorzy nie chcą dziś pamiętać o niej.

# WOLNA TRYBUNA

## Osobliwy jubileusz „Fredreum”

**K**ILKU starszych, bardzo ruchliwych panów, z pewnej bardzo zresztą zasłużonej instytucji kulturalnej, rozwinęło ostatnio, za przeproszeniem, absurdalną incjatywę w popularyzacji tego, co w sensie obiektywizmu prawdy historycznej jeszcze nie zaistniało. A instytucja ta zbyt jest poważna żeby ją tak krótkowidlnie reklamować, przydawać jej więcej patyny, niż w rzeczywistości posiada. Jakkolwiek ma na swym koncie oprócz wzołotów także i obniżenia poziomu (artystycznego), to w rzeczy samej jest tak społecznie zasłużoną placówką kulturalną, że wystarczą dla jej chwały realnie działane fakty.

Problem tu poruszony dotyczy zaczątków działalności amatorskiego ruchu teatralnego w Przemyślu. Od jakiegoś czasu niektórzy działacze głoszą publicznie (na zebraniach, za pośrednictwem prasy) mit o rzekomym... stuleciu teatru Fredreum! Z uporem mania niektórzy twierdzą, a inni zasugerowani wierzają, iż obecny teatr amatorski poszczycić się może metryką stulecia i jest najstarszą tego typu placówką w kraju a nawet w Europie (!) A jak jest naprawdę? Wystarczy sięgnąć do źródeł, pójść do biblioteki, zaglądnąć do starodruków w miejsowym muzeum.

Dla uniknięcia nieporozumień pragnę zaznaczyć, że mam, jak inni tutejsi mieszkańcy, wiele szacunku dla owej, moim zdaniem, nestuletniej jeszcze instytucji, a tylko mi chodzi o... głoszenie prawdy, a nie bantalużkę, jeśli chodzi o datę jej powstania! A prawda jest, jak sądzę, następująca.

Gdzieś pod koniec lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia różne kółka artystyczne przy instytucjach społecznych — reko-dzielników, jak np. „Gwiazda”, i mieszczafskich, np. „Sokół” — urządziły zaczęły sporadyczne przedstawienia publiczne, zarówno dla zgromadzenia potrzebnych tym instytucjom funduszy na cele przede wszystkim charytatywne, lub gwoli pielęgnacji ojczystego języka, bądź wreszcie dla samego wyżycia się aktorskiego poszczególnych pań i panów, działających społecznie w tychże instytucjach. Rosły (na szczęście) owe kółka jak grzyby po deszczu.

Nawiązując do tych sporadycznie działających „kolek artystycznych”, można by z pewnym uproszczeniem powiedzieć: miła sto lat od początków ruchu amatorsko-teatralnego w Przemyślu! Ale: to był ruch, tylko słaby bardzo i niestaly, a nie: stała scena amatorska, bo ta powstała konkretnie w roku 1879, tak że miła dopiero! dziewięćdziesiąta rocznica stałej sceny, ale to nie było jeszcze „Fredreum”. Ten amatorski ruch teatralny, zainicjowany przez szlachetne jednostki jeszcze w mrokach niewoli, to nateżał się, to zanikał ostatecznie, bo władom zaborem (austriackim) wcale nie zależało na popieraniu i ochranianiu polskich placówek kulturalnych. Stąd ogromna zasługa historyczna tych amatorskich stowarzyszeń dramatycznych, których spadkobiercą i kontynuatorem (a nie inicjatorem) jest bezspornie stowarzyszenie do dziś działające, zwane w skrócie: „Fredreum”, które powstało w listopadzie 1910 r., trzydzieści lat później od chwili ukonstytuowania się wspomnianej, pierwszej stałej sceny dramatycznej w Przemyślu (teatru L. Hausera); scena ta, z przyczyn podanych kilka wierszy wyżej, zmarła, jak to się mówi, śmiercią naturalną.

Tak więc można w pewnym przybliżeniu mówić o stuletniej metryce, ale efemerycznego, teatralnego ruchu amatorskiego, o dziewięćdziesiątej rocznicy powstania stałej sceny dramatycznej w Przemyślu, i o sześćdziesiątej rocznicy od założenia Stowarzyszenia Dramatycznego im. Aleksandra Fredry — jak w pełnym brzmieniu zarejestrowane jest w aktach popularne „Fredreum”. Błędne zatem i absurdalne jest twierdzenie niektórych osób, każących nam obchodzić stuletnią rocznicę powstania „Fredreum”, które, powtarzam, ukonstytuowało się w 1910 r.

Stefan Czejkowski

## „Iż Polacy nie gęsi...”

**R**OKROCZNIE w przededniu Święta Pracy i Święta Odrodzenia dochodzi do dyskusji na temat, jak właściwie powinna składać się słownie odpowiednia data: „pierwszy maj”, „pierwszy maja” czy „pierwszego maja”; „dwudziesty drugi lipiec”, „dwudziesty drugi lipca” czy „dwudziestego drugiego lipca”?

# Dwudziesty drugi lipca

Zwolennicy pierwszej wersji językowej twierdzą, że liczebnik porządkowy jest w tym wypadku przydawką przymiotną do następującego po nim rzeczownika, a zatem — zgodnie z zasadami składni zgody — oba muszą stać w tym samym przypadku. Ci, którzy się wypowiadają za drugą wersją, utrzymują, że „pierwszy” („dwudziesty drugi”) nie jest przydawką do rzeczownika „maj” („lipiec”), lecz do domyślnego „dzień” i dlatego nie ma tu zastosowania składnia zgody ale składnia rzędu, a zatem poprawne są formy: „pierwszy (domyślnie: „dzień”) maja”, „dwudziesty drugi (domyślnie: „dzień”) lipca”. Na poparcie trzeciej wersji przytacza się argument, że podając daty z reguły używa się form w dopełniaczu („Dzisiaj jest szóstego stycznia” itd.), a więc powinno się mówić i pisać: „pierwszego maja”, „dwudziestego drugiego lipca” itd. — Kto ma rację?

Zaczniemy od trzeciej wersji. Usadniająca ją rozumowanie na pozór nie można zarzucić, bo rzeczywistość od dawien dawna oznacza się daty rzeczownikami i liczebnikami porządkowymi (albo samymi liczebnikami) w dopełniaczu. Trzeba jednak zauważyć, że ma to zastosowanie tylko w odpowiedzi na pytanie: „Kiedy?” lub: „Którę jest (mamy) dzisiaj?” Mówi się więc i pisze: „To się działo pierwszego maja”, „Imieniny Krysi przypadają dwudziestego

lipca”. „Dzisiaj mamy drugiego sierpnia” itd. Warto nadmienić, że i tutaj zachodzi skrót myślowy. „Pierwszego maja” znaczy w przytoczonym zdaniu tyle, co: „pierwszego dnia maja” itd. Liczebnik porządkowy jest więc w tym zwrocie przydawką przymiotną do domyślnego rzeczownika „dzień” (w dopełniaczu), a rzeczownik „maja” przydawką dopełniaczową do tegoż rzeczownika. Dlatego też błędny jest zwrot: „w dniu pierwszego maja”, a poprawny gramatycznie: „w dniu pierwszym maja”.

Odmienne konstrukcje gramatyczne stosuje się, gdy zależy nie tyle na określeniu daty, ile na uwypukleniu charakteru dnia, który się z tą datą wiąże, gdy więc pytamy: „Jaki to będzie jutro dzień?”. W tym wypadku trzeba

przyznać raczej rację zwolennikom drugiej wersji językowej („dwudziesty drugi lipca”), bo istotnie liczebnik „dwudziesty drugi” jest tu przydawką przymiotną do rzeczownika „dzień” (w mianowniku), a wyraz „lipca” przydawką dopełniaczową do tegoż rzeczownika. Ponadto wyrażenia: „pierwszy maj”, „dwudziesty drugi lipiec” są nielogiczne, bo sugerują, że mówiący ma na myśli pierwszy z kilku miesięcy roku, noszących nazwę „maj”, czy też dwudziesty drugi z rzędu w danym roku lipiec, co przecież jest absurdem. Choćby więc „Słownik poprawnej polszczyzny” Szebera dopuszcza oba zwroty, zaznaczając tylko, że rzadziej się mówi i pisze „pierwszy maj” — zalecał posługiwanie się formami „pierwszy maja”, „dwudziesty drugi lipca”.

Zrekapitulujmy:  
1. Na pytanie „Kiedy?”, „Którę jest dzisiaj?” i podobne odpowiada się liczebnikiem porządkowym w tym samym przypadku co wypowiedziany lub domyślny rzeczownik „dzień”, a zatem: „pierwszego (dnia) maja”, „w dniu dwudziestym drugim (nie: dwudziestego drugiego) lipca”.  
2. Chcąc określić charakter dnia, używa się liczebnika porządkowego w mianowniku w połączeniu z rzeczownikiem w dopełniaczu, mówi się więc i pisze: „pierwszy maja”, „dwudziesty drugi lipca”.

Witold Kocharński

Leszek Prorok debiutował w dziedzinie literatury za sprawą... dwóch z niemieckiego, otrzymane w przedostatniej klasie gimnazjum Górskiego w Warszawie. Zamiat korepetycji rodzice zafundowali mu wakacje w Gdańsku, gdzie właśnie miał się poduczyć niemieckiego. Znamiona historycznej i współczesnej polskości miasta, a zarazem nasilające się objawy germanizacji i fałszywej (rok 1938) sprawiły, że po powrocie do Warszawy napisał kilka opowiadań o tych sprawach. Jedno z nich, dotyczące XVII-wiecznego Gdańska, wydała przed samą wojną, w 3-tygodniowym nakładzie, Księgarnia Świętego Wojciecha — „Dzień nad Motławą”, Poznań 1939. Równocześnie Prorok skończył gimnazjum. Po klasie wrześniowej, kiedy stopy polskich książek płonęły w wielu naszych miastach, niszczone przez okupanta, większość egzemplarzy „Dnia nad Motławą” spaliła się w Poznaniu. Dopiero w roku 1947 przy pracach nad odgruzowaniem warszawskiego getta, kiedy odkryto skrzynie z polskimi drukami, odsalezono też kilkadziesiąt egzemplarzy utworu Proroka. Te warszawscy księgarze na wieść o pozostałościach ukryli, jeszcze na począt-

ku okupacji, dostępną im część naszego dorobku edytorskiego. Dziś książeczka, opracowana specjalnym ekslibrisem związanym z okolicznościami jej odsalezienia, stanowi rzadkość bibliofilską. Leszek Prorok urodził się w roku 1919 w Warszawie, 50 lat życia, 30 lat pracy literackiej, 20 książek — oto najkrótsza z możliwych formuł jego biografii. Kryje się za tym dorobek różnorodny i pokazny, aczkolwiek poza wspomnianym opowiadaniem reszta utworów Proroka wyszła już, odczytanie, po wojnie. Po wojnie też ukończył studia prawnicze, rozpoczęte jeszcze na konspiracyjnym uniwersytecie. W latach 1957—1958 był dyrektorem Teatru Laiki i Aktora „Marcinek” w Poznaniu, zaś w latach 1958—1964 kierownikiem literackim studia telewizyjnego pisma „Kultura”. Równocześnie na Wydziale Humanistycznym UAM prowadził wykłady z zakresu estetyki, reżyserii oraz historii teatru telewizyjnego. Ślad narodziła się eseistyczna książka „Okno dziwno” (1966). Od roku 1964 mieszka w Warszawie. Działa też — jako organizator — w środowisku pisarzy marynistycznych. Odbił kilka podróży: do krajów arabskich, afrykańskich, USA,

Kanady, Europy... Planem tych wypraw oraz zainteresowań marynistycznych Proroka są m. in. tomy opowiadań „Wielkie wody” i „Lądy nieuniknione”, Uprawa dramat (np. „Powrót taty” — komedia futurologiczna, wystawiana w latach 1961—1962), prozę (m. in. powieść „Wyspiarsze” o Ziemiach Zachodnich, „Drabina jakubowa” — tematyka wiejska, „Tarantella” — o nastolatkach), eseistykę (wydany ostatnio zbiór „Plemię Herostratesa” o problemach cywilizacji współczesnej i kultury masowej), kompleksach prowincji. Na podstawie jego tekstów opracowano szereg słuchowisk radiowych. Jest laureatem wielu konkursów literackich — na powieść o Ziemiach Zachodnich, na opowiadanie współczesne (1960), na utwór o tematyce olimpijskiej (1965)... Przez szereg lat był recenzentem teatralnym. Należy do PEN-Clubu oraz do Międzynarodowego Instytutu Teatralnego przy UNESCO.

Z „Kamena” współpracuje od roku 1955. Drukowane opowiadanie pochodzi z tomu Proroka „Letni sztorm”, który ukazuje się na początku przyszłego roku nakładem LSW. Tekst nie był dotąd publikowany.

poręli, nie pomoże ten krzyk, patron mój nie zjawi się tutaj, staje dziś przecież w Rzymie. Młyn Frosinone contra Amministrazione Dróg, miałem zaszczyt o tym uprzedzić. Więc niech nie krzyczą, upraszam Wysoki Sąd, o wzięcie mnie w obronę; tak, niechaj Sąd nakaze woźnym uspokojenie, ja zmierzam już do końca, mówię nawet szybciej, pedzę, otrząsnąłem się z zaduchu, choć właśnie słońce nad gmachem Trybunału stanęło w zenicie. Widzę, że Sąd, że również Wysoka Ława też już resztkami sił pełni obowiązki, szczerzy obowiązki sprawiedliwości, zatem proszę o jeszcze trochę czujności, uwagi: otóż w głębi wspomnianego zaułka stał pokraczny domek. Starsi go pamiętają na pewno. Może i wy, panowie przysięgli, go pamiętacie? Albergo della rosa. Nazwa jak na uragowisko, gdyż wokół było brudno i smrodliwie. Wino podawał właśnie garbus — taki jak ten. I koty, szczerzy, oślepie osły. Garbus! A w sąleciwale uliczki pokrętna Viale del Sole, ach nie — myślę się wciąż z upału miesza mi się już wszystko, della Luna raczej. Viale della Luna i św. Brunona oraz Rymarzy. Skądże, nie, czy tak?.. Powiniennem się zatrzymać, lecz nie z powodu tego protestu, to już drugi raz, panie doktorze Zeno. Ale to jest do rzeczy, choć pan tego nie dostrzega, i mam do końca święte prawo obrony. I nie mogę już stanąć, wiem, że bredzę choć bronię. Rymarze byli z drugiej strony miasta, a tu koty, garbus i szewcy. O tak, panowie przysięgli, szewcy. Starsi ludzie pamiętają, ja nie jestem tak stary, aplikuje zaledwie trzy lata, ale wy, panowie przysięgli, pan, panie sędzio. Tak pan, na pewno pan! I ja, i my, szczerzy, skwar, słońce, Albergo del Sole czy della Luna, ach!..

Uciszyć się! Uciszyć się wszyscy! Nic się nie stało, choć Wysoki Sąd milczy i głowę wsparł na dłońach. Obrona trwa, słyszycie? Starczy mi głosu, mogę mówić silniej, teraz już całkiem równym głosem. Wysoki Sądzie, nie mi nie jest, uchyliłem się w porę, kalamarz Trybunału trzasnął w ścianę za mymi i za garbusa, klienta mego, plecami.

Więc z nową siłą: Wysoki Sądzie i Wy, panowie przysięgli. Już naprawdę niewiele słów mi trzeba, aby rzecz zakończyć. Powróćmy raz jeszcze pamięcią do wypadku, który przed tygodniem przytrafił się na przedmieściu Castel di Sangro. Przypomnijmy sobie: oto skwar taki jak dziś leje się z nieba południową porą. Wszystko, co żywe, kryje się pod dachem. Tylko gromadka dzieci bawi się na Via Caruducci. I w dali turkoczko zapuźniona arba z winem — nie zdążyła przed szczytem skwaru do miasta. Tym samym traktem dąży strudzony kaleka, bezdomny nędzarz. Tęskni do ochłody, do kubka napoju, do ludzkiego współczucia, swym belkotem prosi woźnicę, by pozwolił przysiąść się na arbie, lecz ten go przepędza, by nie zmęczył osła. Garbusowi pot oczy zalewa, lecz widzi on, iż wieże i domy miasta blisko, ufa, że znajdzie tam spokój i wytchnienie. Ze napotka dobroć, której tak bardzo jest zlakniony. Przed miastem napotyka dziecięcą gromadkę. Uśmiecha się do nich, z daleka wyciąga dlonie. Chciałby zamienić z nimi życzliwe słowa, choć ze splecionego gardła dobywa się belkot, chciałby spytać o nazwę miasta, o tanią oberżę, przytulek, chciałby któreś z nich pogłaskać po głowie, pokrzepić się wdziękiem dzieciństwa. Miał tego, o czym marzy, z gromadki pada sztyderstwo, za nim drugie, trzecie, dziesiąte. Znaćcie przecież nieświadome okrucieństwo wieku dziecięcego. Godzą kalekę w to, co boli najbardziej, sztydzą z garbu, z jego skazy i nieszczęścia, podskakując śpiewają jakby piekielny żar się ich nie imał, i skandują gromadnie to obmierzłe słowo, tak przecież zeznały i tutaj, wykrzykują: garbus, garbus, garbusku, zyg zyg marchewka, garbaty garbus, drażniąc tańczą wokół biedaka, chcą dotykać pleców, by sprawdzić, czy garb nie przyprawiony, podnoszą szpetotę tego kształtu. Przypominają złośliwie pietno, które dźwiga przez całe życie, a więc depczą go i poniżają. Na pewno nie myślał o zabójstwie. Cóż jednak uczynił uzgodzony w samą istotę człowieczeństwa, oszalał z bólu, półprzytomny ze skwaru i znudzenia? Chwyta leżący kamień. Kalamarza, Wysoki Sądzie, niestety przy sobie nie miał. A skwar tu nie inny, niż wtedy na Via Caruducci, spójrzcie, panowie przysięgli, atrament już wyszeł na ścianę za naszymi plecami.

**W**YSOKI Sądzie! Panowie przysięgli! Doceniam zaszczyt, który mi przypadł w udziale. Tak, to zaszczyt prawdziwy wystąpić jako substytut mecenasa Temporelli w sprawie, która, która... pozwólcie sobie zaczerpnąć określenie z przemówienia oskarżyciela, pana doktora Zeno. Tragiczna sprawa, która nas zgromadziła w dzień upalny i męczący, stwierdził słusznie mój szanowny przeciwnik, a zarazem przeciwnik — ma istotnie niecodzienne oblicze. Tak, niecodzienne — naruszone bowiem zostały zasady społecznej współzycia, a niewinne dziecko poniosło śmierć. Nie, nie, Wysoki Sądzie, nie chcę jątrzyć tym przypomnieniem ran zbolejał matki, wdowy Ricci, którą znamy przecież tu w Castel di Sangro powszechnie, dla porządku jedynie muszę zgodzić się ze świetnym, jak zawsze, wystąpieniem doktora Zeno, jeśli chodzi o wyznaczenie miary tej bolesnej sprawie, w której mam zaszczyt stanąć. Ależ tak, Wysoki Sądzie, zaszczyt niewątpliwy, nie wolno mi pomijać milczeniem także osobistego aspektu sprawy. Gdzież mogłem, młody aplikant z kancelarii pana mecenas Temporelli, ozdoby naszej palestry, marzyć, że to właśnie ja... Lecz przypadek spada brzemieniem i szansą. Ten sam przypadek, który na sobie w samo południe, gdy każdy chroni się przed skwarem... Pozwólcie, panowie przysięgli, że sięgnę znów do sformułowań pana doktora Zeno: strata dotknęła nas wszystkich, to pewne. Ugodzona w podstawę społecznej więzi, naruszono poczucie bezpieczeństwa i spokoju, tego spokoju, którym miasto cieszy się od wieków. Atmosferę, w jakiej pracowitość mieszkańców, niefrasobliwa radość dzieci i zdrowie rodzinnego życia, mogły kwitnąć tutaj na wzór innym miastom naszego kraju. Racja, po trzykroć racja! Castel di Sangro nie zna mordów, krwawych gwałtów, brutalnej przemocy! Widzę uśmie-

cieśzę się, że mogłem tego patronowi oszczędzić. W dniach takich jak dzisiejszy ciśnie nie daje mi się szczególnie we znaki. Nam także, Wysoki Sądzie, choć ja... Nie, nie zdradam tajemnic kancelarii, nie tu przecież nie padło takiego, czego patron mój nie zechciałby potwierdzić. Ze zaś dziwne to... dziwne jak życie, zwłaszcza dla kogoś, kto staje u brzegu, brzegu życia świadomego, zawodowego, jak ja w mej pierwszej, a tak już głośnej obronie, na oczach wzburzonego miasta, któremu tylko zdecydowana postawa karabinierów oszczędziła drugiej tragedii — samosądu! O nie, proszę bardzo o pozostawienie mi nienaruszonego prawa głosu, Wysoki Sądzie, wszak bronię, jak mogę najlepiej, zaraz to wywiodę, wywiodę według wszystkich reguł naszej sztuki, pozwólcie panowie,

wszyscy. Ach nie. Wysoki Sądzie, nie jest mi słabo i wyraźnie, zupełnie wyraźnie widzę kształty owych zdarzeń tragicznych, widzę też równie ostro granice i szanse mej obrony, więc nie potrzeba mi przerwy, ani szklanki wody; mowa obrońcy, jakakolwiek by była, musi dobiec końca, by rygorom sprawiedliwości stało się zadość. Wiemy to wszyscy, wiem i ja również, sam pragnę tego gorąco, choćbym miał zapłacić całą mą przyszłą, le-dwo rozpoczętą karierą obrońcą, a przecież mam przez cały czas tę nieodpartą pewność, że bronię nieszczęśliwca, bronię garbusa wtedy nawet, gdy in extenso nieomal cytuję, co tak dziwi was, panowie przysięgli, wywód oskarżenia. Ja sam się dziwię, że jest to konieczne, ale wiem, dokąd zmierzam, tak jest, Wysoki Sądzie, do rzeczy, jak najbar-

# Obronca

Leszek Prorok

korzystam wszak tylko z zawarowanego prawa obrońcy, choć z drugiej strony nie dziwię się zniecierpliwieniu publiczności, której pot zalewa oczy, wszak i mnie w tym skwar-nym zaduchu mówić trudno. Biada dziś w gmachu Trybunału tym wszystkim, którzy noszą togę. Tak jest, Wysoki Sądzie, może to zbędne, lecz proszę darować niewiarycznemu, który nadto nie miał dość czasu na przygotowanie obrony z urzędu w oczywistej sprawie zabójstwa dziecka na Via Caruducci. Tym razem bezwzględnie przechodzę do rzeczy, oświetlę zaraz z mej strony lico czynu. W tym celu wypada mi jednak raz jeszcze sięgnąć do argumentacji oskarżyciela. Oto pewnego upalnego dnia, takiego jak dziś — było to ledwie przed tygodniem, w społeczności, która dla całej Italii — cytuję znów wspomniany wywód pana doktora Zeno z zapisków, z nam stenografie, nie uroniłem niczego z tak wielkiej dla mnie szkoly słowa — która, powtarzam, dla całej Italii, co mówię: dla całego świata, tak przecież, słyszeliśmy wszyscy, wyraził się pan prokurator, stanowiąc może wzór chwalebego życia, zjawia się wloczęga, wyrutek społeczeństwa, nie znany nikomu, bez stałego miejsca zamieszkania i bez pracy, dyszący... — to nie moje słowa, powtarzam wiernie wywód oskarżenia, dźwięcie się temu, panowie przysięgli, lecz upewniam was, ja bronię, świadom tego jestem jak najbardziej, bronię, choć i mnie poraził upał, choć dręczy zaduch, nie odebrał mi przecież jasności sądenia, przysięgam, Wysoka Ława, a więc proszę Wysoki Sąd o jeszcze chwilę wyrozumiałości dla początkującego, boć przecież nie jest tak, jak opinia zwykła oceniać obrończe mowy z urzędu, że to forma jedynie, forma należy, by odwiecznym rygorom procesowym i sprawiedliwości stało się zadość. Ze tylko forma pozostaje obrońcom w przypadkach tak zda się jasnych jak ten. To zresztą również pogląd mego patrona, oparty o dziesiątki podobnych sądowych kampanii i o lata pracy. Bezsporne ustalenie lica czynu, przyznanie się do winy i ta śmierć niewinna. Nie, Wysoki Sądzie, nie zgubiłem wątku — ... dyszący niewiścią do świata i ludzi, tak wyraził się pan prokurator. Dodał więcej: kogóż garbusów, który siedzi przed wami, panowie przysięgli, kogóż to upatrzył sobie na ofiarę swych zbrodniczych skłonności? Nieletnie, niewinne dziecko, ośmioletniego Emilla, jedynaka poczciwej wdowy Ricci... nie, nie chciałem tego, dobrze jednak, że Wysoki Sąd polecił karabinierom wyprowadzić wdowę podwójną chyba teraz — rzec tak można; to zbyt dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego, jak zawsze, przemówienia oskarżyciel zażądał, by postawił zdecydowaną tamę zwyrodnieniu mętów. Nie wolno bowiem wydawać Castel di Sangro na pastwę zwyrodniałców. Uznał dalej, iż przewód dostarczył dostatecznie dużo dowodów winy oskarżonego, który zresztą w obliczu jednoznacznie brzmiących zeznań dzieci i wiarogodnych świadków nie usiłował się nawet zapierać. Zbyt prostą nazwał dla niej szarpane przysłuchiwać się rozprawie. A więc wracam do rzeczy, pamiętam o tym nieprzerwanie, Wysoka Ława, zwracam. W finale swego świetnego,

# Śladem raportów podporucznika

Dokończenie ze str. 1

wczasu. Osiem pocisków „w razie czego” — do nich. Dziwili się dla mnie.

Na szczęście — do Włodawy dojechałem wówczas szczęśliwie.

Powoli zaczęły się koryzować sceny sprzed 25 lat, nazwiska, wydarzenia. Postanowiłem pojechać śladem tych raportów. Czy uda się odszukać ludzi, z którymi wówczas rozmawiałem? Chyba nie. Dużo nazwisk oficerów. Nie jeden z nich nie żyje, inni rozjechali się po całym kraju. Ale miejscowości — pozostały, ale sprawy — sygnalizowałem. Co dalej było? Co jest teraz?

Jak w dzisiejszym krajoznawstwie Polski, Lubelszczyzny, siedzą moi rówieśnicy, ludzie mojego pokolenia, którzy wtedy musieli strzelać, walczyć, chodzić w podartych butach, głodować? Dziesiątki pytań, na które odpowiedź miałaby przynieść dopiero konfrontacja terenowa.

## 13 lutego

Nie jadę drogą główną Lublin—Włodawa. Wpakowałem się za Ostrowem Lubelskim w leśne ostepy i piaski. Na szczęście od rana pada deszcz, można przejechać. Wyrzucić się uświadomiam sobie, że w tych warunkach mogła działać nazywana pół-żartem pół-serio w latach okupacji republika ostrowska. Ale potem, już po wojnie — w tych właśnie pozabawionych drog bitych ostepach mógł przypuścić każdy zbrojny oddział, który chciał wymierzyć broń przeciw młodej ludowej władzy i jej niedożyłonym, źle odzianym obrońcom. Toż na rzut kamienia stąd, w Rozkopaczewie, zamordowano sześciu młodych chłopców z ZMW, który 1 maja 1947 roku wracali z 1-majowej manifestacji w Lubartowie. Dziś w Rozkopaczewie jest szkoła imienia pomordowanych...

To już był jednak nieco późniejszy czas i nieco bliżej Lublina leżący teren.

Wjeżdżam w rejon Sosnowicy, Wołoszkowoli, Kołaczy. Niemal wszystkie te miejscowości, same ich nazwy, budziły w owym czasie grozę. Teraz cisza, spokój. Liczę spotkane samochody. Nie zmęczyłem się. Aż do krzyżówki z lubelską szosą spotkałem ich siedem. Zwykle, powszedni jesienny dzień.

Wtedy zaś, w lutym 1946 pisałem:  
W pogotwie włodawskim jest wielkie nasilenie zarówno band UPA i NSZ jak też i band rabunkowych. Obecnie jest przeprowadzana akcja pacyfikacyjna, w której przede wszystkim bierze udział WOP, UBP oraz przybyłe przed kilkoma dniami jednostki: 30 fizylierów 9 pp, jedno działo 76 mm 5 pał, 1 działo 76 mm 9 pp, samochód pancerny UBP z Lublina, oraz 150 ludzi z KBW Warszawa. Na porządku dziennym są zabójstwa i napady tak na żołnierzy WOP, jak i ludność cywilną. W dniu 8.2.46 r. zostało zabitych przez bandę dwóch żołnierzy WOP, zaś w dniu 13.2.46 r. pięciu żołnierzy. Wszyscy z grupy manewrowej z Chełma.

Teraz przychodzi jeszcze inne dodatkowe skojarzenie. W chełmskim grupie manewrowej WOP byli moi koledzy z 3 dywizji, także — z 7 pułku piechoty. Niewykluczone, że któryś z poległych służył wraz ze mną w tej dywizji... A jeśli tak, to również 13 lutego, tyle że 1945 roku, brał udział w dramatycznym i tragicznym natarciu na pozycję ryglową Wału Pomorskiego pod Nadarzewcami. W ów deszczowo-śnieżny dzień, gdy od kul hitlerowskich ginęli koledzy i przyjaciele, nikomu z nas przez myśl nie przeszło, że i za rok, już po wojnie, we własnym kraju trzeba będzie kłaść głowę...

## Powieść i życie

I jeszcze pisałem wtedy w raporcie:  
Walka z bandytyzmem jest najważniejszym zagadnieniem w jednostce. Żołnierze rozumieją i chcą jak najszybszego wypędzenia band. Na akcje jeżdżą chętnie, mimo częstych wypadków ranienia lub śmierci. Wiadomości o śmierci kolegów wywołują zrozumiałe oburzenie i reakcje żołnierzy. Do ludności cywilnej nastawieni są bardzo dobrze.

Teraz notuję fakty wcześniejsze, sprzed mojego raportu, ale także — późniejsze. Komendant powiatowy MO we Włodawie, major Antoni Wilk, ogromnie żałuje, że, niestety, nie dysponuje danymi, dotyczącymi strat wojska, WOP, KBW. Ma jedynie nazwiska i fakty związane z milicją i służbą bezpieczeństwa. Dobrze, niech będzie ten wycinek.

2 listopada 1945 roku w Holeszowie zginęło w zasadce 11 milicjantów. Po latach wzniesiono w tym miejscu obelisk.

Już w czterdziestym szóstym 5 milicjantów z posterunku w Urszulinie, w czasie powrotu z terenu, wpadło w zasadkę w Babaku. Polegli wszyscy.

W czerwcu 1946 r. jedna z najokrutniejszych band „Jastrzębia”, kierowana przez byłego mieszkańca Włodawy, Leona Taraszkiewicza, uprowadziła za Wołoszkowolę I sekretarza Komitetu Powiatowego PPR, Józefa Kielba. Związano go drutem kolczastym, męczono, torturowano. Zakatowano.

Niemal naprzeciw Komendy Powiatowej MO mieści się szkoła. Na jej froncie wmurowano tablicę poświęconą pamięci Józefa Kielba.

Notuję podczas rozmowy z majorem Wilkiem. Kilka nazwisk poległych milicjantów, funkcjonariuszy bezpieczeństwa i ich rok urodzenia.

Jan Bakun, rocznik 1922. Partyzant jeszcze Gwardii Ludowej.

Sergiusz Borsuk, rocznik 1920.

Bazyli Gaponowicz, rocznik 1924.

Paweł Odynieć, rocznik 1926.

... I tak można ciągnąć tę listę urodzonych w większości między rokiem 1920, a 1926. Do końca roku 1947 poległo ich w tym jednym włodawskim powiecie — 62.

To jeszcze w 1951 roku w pobliżu Dominicyna zginął zamordowany przez bandę „Zelaznego” — godnego braciśka „Jastrzębia” — pierwszy przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie, nauczyciel, wielki przyjaciel studentów, człowiek ogromnej prawości — Ludwik Czugała.

Jakże mocno przeżyliśmy wówczas Jego śmierć. To już był przecież drugi rok realizacji pokojowego planu 6-letniego.

## Nad jeziorem Białym

Plączą się raz po raz plany już historyczne i współczesne. Drugiego dnia pobytu we włodawskim, zachęceni do tego przez I sekretarza KP PZPR Adama Mrozowskiego i przewodniczącego Prezydium PRN — objechałem jezioro Białe. Zamiar powstał wtedy, gdyśmy mówili o różnych drogach i sposobach aktywizacji powiatu włodawskiego. Pochwalili się właśnie tym wielkim ośrodkiem.

Nie o tym jednak miała być mowa.

Przypuszczam, że liczni urlopowicze w komendancie sezonowego posterunku MO, starszym sierżancie Aleksandrze Cwiku, dostrzegają po prostu tylko tego, który czuwa nad ich spokojnym dzisiejszym wypoczynkiem. Po prostu — czterdziestoparoletniego mężczyźnię w mundurze. Być może, amatorzy radiotechnicznego majsterkowania odnajdą w nim

kolegę — hobbystę, który w wolne wieczory lubi się tym powabić...

Pozwolę sobie, wobec tego, od innej nieco strony ukazać przedstawiciela mojego pokolenia.

## Na przykładzie Cwika

Liczył dokładnie dwadzieścia lat, gdy w roku 1945 wstąpił ochotniczo do milicji. Miał za sobą w życiowym kapitale doświadczeń, kilkumiesięczny pobyt w obozie na Majdanku. Pracę w piekarni i ukrywanie się w lesie, tuż przed wywołaniem Włodawy. Owcześnie, już nieco zgorzkniały codziennymi stratami, komendant powiatowy milicji przyjął Cwika brutalnym powiedzeniem:

— Chcesz, chodź. I tak mięso, i tak mięso...  
Trafił do plutonu operacyjnego, tak zwanej szturmówki. Operowali nie tylko na swoim terenie, ale i po sąsiedzku — w radzyńskim, chełmskim, nawet białskim.

W Białce koło Ostrowa Lubelskiego czterooosobowa grupa milicjantów, w niej był Cwik, natknęła się na dziewięcioosobową bandę „Stryja”. Urządzano „bal”. Wódka na stole. Milicjanci „zdjęli” trzyosobową obsługę. Wkroczyli do chaty. „Stryj” chwycił za broń. Milicjanci byli szybsi. Strzelili celnie. Z tyłu, z boku — uderzyła pozostała część bandy. Nie ma co kryć, milicjanci musieli uciekać.

Następnego dnia pospieszyła im pomoc z Parzewa. Chwycili trzech dalszych bandziorów od niejącego już „Stryja”. Jeden uciekł. Wskoczył w jezioro. Przykrył się liściem męfufara. Milicjanci podpłynęli łódką. Zdjęli liść, zabrali bandytę.

Potem inna akcja na „Anastazego — Antka”, też pod Ostrowem, we wsi Stare Kolechowice. Zamordowano tu komendanta posterunku milicji, przedwojennego kaprala Wojska Polskiego. „Po robocie” bandyci, specjalizujący się nie tylko w mordowaniu milicjantów, ale i w rabunku żywności — lubili się zabawić. Grupa operacyjna, w której służył Cwik, okrażyła miejsce zabawy. „Anastazy” nie rozstał się z bronią. Spóźnił się jednak w tym starciu o ułamek sekundy.

Jeszcze i jeszcze akcje. Jedna po drugiej, następujące błyskawicznie. Polegli bliscy koledzy: Stanisław Brzozowski i Zygmunt Kotowski. Obaj w walce z „Jastrzębiem”.

— Trudno mi dziś nawet odtworzyć z pamięci skąd to wówczas wiedziałem, po pobycie we Włodawie, meldowałem jednak, że o niektórych akcjach przedsięwziętych przez wojsko, KBW, WOP, milicję — bandy nierzadko wiedzą wcześniej. Kto je informował, kto dawał przysłówki „cyk”?

Aleksander Cwik, mówiąc w sposób spokojny, precyzyjny, stwierdza w pewnym momencie:

— „Jastrzęb” doskonale orientował się w naszych ruchach. Tu, we Włodawie, wychował się, miał rodzinę, znajomych. Czy tylko zresztą, ogólnie mówiąc, w mieście? — potwierdza tamtą moją, sprzed dwudziestu czterech lat, supozycję.

— Choćby październikowy napad na komendę i urząd bezpieczeństwa. Doskonale „Jastrzęb” musiał wiedzieć, że większość naszych sił operuje w powiecie. Bo to było tak...

W październikowy wieczór roku 1946, już o szarówe, wrócili z terenu Aleksander Cwik i Jan Janicki. Poszli na spóźniony obiad do stołówki. Ledwie wzięli łyżki do ręki, gdy wpadł Jan Gnypek.

— Chłopcy! Zajechały przed komendę jakieś samochody z uzbrojonymi ludźmi. Otoczyli budynek.

Rzucili łyżki, wybiegli na dwór. Przyglądali się przez chwilę budynkowi komendy, stojącemu po drugiej stronie ulicy. Samochodowi „goście” już „zdjęli” wartownika. Broń maszynową wymierzili w komendę MO.

Cwik i Janicki wrócili do siedziby swojej szturmówki. Chwycili erkaemy. Biegłemu na dwór. Samochody odjechały w kierunku urzędu bezpieczeństwa. Po chwili wybuchła tam strzelanina. Nie było już wątpliwości, kim są przybysze.

Milicjanci erkamiści odczuli się za swej broni. Cwik z tak zwanej niemieckiej „suki”, Janicki z radzieckiego dieglarewa. Strażujący przed gmachem rozbiegli się. Z komendy MO wybiegło trzech bandytów, pilnujących rozbrojonego uprzednio wartownika, Aleksandra Pyżuka. Wystarczył moment, by chwycił on za pepesę. Skosił teraz kolejnego bandytę.

Jeszcze z góry cisnął granaty nie zauważony przez bandę oficer polityczno-wychowawczy komendy sierżant Edward Kuźmierz. Już były niepotrzebne, już Cwik i Janicki oczyszcili teren. Obstawili komendę czujni, gotowi do odparcia nowego ataku.

Huczy, grzmi wokół budynku urzędu bezpieczeństwa. I tu jedli spóźniony obiad i tu ich „Jastrzęb” zaskoczył. Poległ wartownik i zdemobilizowany żołnierz. Zginęło na parterze budynku trzech funkcjonariuszy. Na górze szef urzędu utworzył istną twierdzę. Ciśka granat za granatem w kierunku napastników.

Gdzieś z dala, z tyłu zaczęły padać gęsto strzały. Na razie w górę ostrzegawczo.

Poniósł się krzyk:

— Ochochódź w kierunku szosy chełmskiej. Idzie wojsko. Zaalarmowana kompania wojska czesała główną ulicę. Żołnierze nie wiedzieli, co się dzieje, dlatego strzelali w górę. Wystarczyło to jednak, by „Jastrzęb” zaczął pospiesznie zwinąć manatki. Zdążył jednak przed tym rozbić urządzenia pocztowe. Jeszcze raz usiłowało atakować komendę milicji. Przywitali ich grad pocisków. Po półtorę godzinie powrócili we Włodawie cisza.

— Doskonale musieli wiedzieć, że tego wieczoru w gruncie rzeczy nie będzie miał kto bronić komendy i urzędu...  
Pyżuka odznaczono „Krzyżem Walecznych”. Cwika — Brązowym Krzyżem Zasługi. To jeszcze potem, już w 1948, miał on okazję zarobić czeski „Krzyż Walecznych” z osobnym podpisem ówczesnego Ministra Obrony Narodowej generała Ludwika Swobody. To za wspólną akcję w walkach z bandami UPA na polsko-czechosłowackim pograniczu.

— Jeździło się wszędzie tam, gdzie była potrzeba.

A potrzeb było wtedy szczególnie wiele. Zabito w walce w radzyńskim „Jastrzębią”. Komendę nad zbójczą watahę przejął młodszy, a godny braciśzek — Edward, o pseudonimie „Zelazny”. Zapisał się szczególnie krwawo na tej wschodniej polaci Lubelszczyzny. To jego banda zamordowała Ludwika Czugała.

Dopadły wreszcie „Zelaznego” w nadgranicznych ostepach, w rejonie wsi Zberetze, oddziały KBW. Jeszcze w ostatnim momencie walki usiłował porwać samochód, raniąc kierowcę. Ten jednak miał więcej hartu i odwagi, niż mniemał watażka. Zginął więc i „Zelazny”.

Na włodawską ziemię powoli zaczął wracać spokój. Spokojny sen.

I dziś Aleksander Cwik, bodaj już jedyny we Włodawie funkcjonariusz, który wtedy tu także walczył — może latem patrolować nad jeziorem Białym, wieczorem, w zimie majsterkować przy radiodbiorniku.

Znów sięgam do raportu.

W rejonie gminy Wisznice prawdopodobnie połączyły się oddziały UPA i NSZ, które wspólnie napadają na Wojsko Polskie.

Mówią mi dziś we Włodawie:  
— Wisznice szybko zaczęły zapracowywać na inną sławę. Już jesienią czterdziestego szóstego powstało tam gimnazjum. Zaczęto od byłego budynku gminnego. Dziś — liceum posiada piękny gmach.

Wtedy, w raporcie, o sprawach obywateli we Włodawie pisałem:

Na terenie miasta oprócz szkół powszechnych istnieje tylko gimnazjum.

Mówią mi dzisiaj:

— Oprócz liceum istnieje we Włodawie także Technikum Mechaniczne i zasadnicza szkoła mechaniczna. Na bazie PGR Karłowka powstaje zasadnicza szkoła rolnicza. Uciekała i ucieka nam młodzież — po szkołach średnich. Co miała jednak robić?

Trwa budowa wielkiej garbarni w Orchowku, cztery kilometry od Włodawy. To będzie zaplecze dla fabryki obuwia w Chełmie. Skąd jednak brać fachowców? Liczyłem, że przywiozł nam ich w teczkach? Dogadaliśmy się z Radomiem. Kształcimy tam w technikum garbarskim 37 osób, a w Wyższej Szkole Inżynierskiej siedem. Dajemy im stypendia, za pomocą. Ogromna jest zyciliwość władz radomskich. W roku bieżącym tu, do nas, przejechała komisja egzaminacyjna, aby nie narażała młodzieży na zbędne koszty. Biednie tu u nas jeszcze się żyje. Może wreszcie zatrzymamy młodzież?

Garbarnia jest wielką nadzieją Włodawy. Nareszcie coś się ruszy. Przybędzie na pewno mieszkań. Dotychczas zbudowano po wojnie dziewięć bloków. To prawda, niektóre, mają nawet po 90 mieszkań, ale ciasnota nadal potworna. Średnio trzy osoby na izbę mieszkalną. Kto wie, czy to nie smutny krajowy rekord?

Starzeje się wieś. Ponad 3000 gospodarstw jest w ręku ludzi starszych. Jakże z nimi rozmawiać o intensywnym nawożeniu, nowoczesnym gospodarowaniu?

Wracam znów, na chwilę, do raportu.

Stale napady są powodem opieszłego zdawania świadectw rzeczowych. Dotychczas powiat zdał 35 procent przewidzianego kontyngentu...

Po roku 1954 wkroczył na te włodawskie mokradła i bagna kanał Wleprz-Krzyna. Powoli zaczyna owocować urodzajnymi łąkami. Jeszcze, niestety, nie brak bagien. Jeszcze nie zakończono prac melioracyjnych. Ale zmiany wdzierają się i tu w każdą szczylinę rolniczego życia.

— Gdy w sześćdziesiątym drugim roku byłem tu sekretarzem rolnym — opowiada towarzysz Mrozowski, który ostatnio z Chełma trafił tu na stanowisko I sekretarza KP PZPR — uprawiano we włodawskim ał. 12 hektarów tytoniu. A wiadomo — tytoń, to pieniądze. Naciągalem instruktorów z przemysłu tytoniowego. Dzień i noc radzili z chłopami. Przekonywali ich. Dziś jest w powiecie tytoniu około 800 hektarów. Dodatkowe miliony złotych rocznie...

I do tego 310 traktorów; w nawożeniu mineralnym zbliża się Włodawa ku średnim krajowym; w bieżącym roku gospodarzom ma to być już 111 kilogramów w przeliczeniu na azot, potas i fosfor na każdy hektar ziemi.

No i ta garbarnia, która budzi najrozmaitsze nadzieje. Ze będzie praca i mieszkanie. Szybsze tempo życia. Jeszcze mocniej biśnie i tak znany już zespół z Domu Kultury Dzieci i Młodzieży, zapraszany dziś na różne krajowe imprezy.

Wtedy, w czterdziestym szóstym, po rozmowach z żołnierzami, którzy ledwie znajdowali czas na pospieszne przepisanie się i przewinięcie skręconych onucek, ale tęskniącymi za odmianą w swoim codziennym, niemal frontowym życiu, pisałem:

Żołnierze skarżą się na brak jakichkolwiek kulturalnych rozrywek, jak np. kino, radio itp.

Powiatowy Dom Kultury, wraz z kinem, oddano we Włodawie do użytku 15 grudnia 1948 roku, a więc na dzień rozpoczęcia Kongresu Zjednoczeniowego PPR i PPS. Potem — powstał ów dziecięcy i młodzieżowy dom kultury. Potem — telewizja zaczęła zacierać poczucie odległości i izolacji. O tym ostatnim — już przecież wówczas, w 1946 roku, znanym w świecie wynalazku — nawet się w Polsce nie słyszało. Nawet więc „nie projektowano”.

Właśnie — „projektuje się”.

## Bez pomyłki

Raportowałem w lutowym raporcie, boć przecież moi szefowie chcieli znać sytuację nie tylko w dziedzinie walki z bandami, ale także jak najszersze tło gospodarze, kulturalne:

Na terenie powiatu włodawskiego projektowane jest sanatorium przeciwgruźlicze w dawnym pałacu hr. Zamojskiego. Korzystać będą z niego robotnicy i chłopci.

Jadę więc teraz w las, do Adampola.

Wita mnie — dyrektor od lat piętnastu — doktor Jan Krupka. Starszy kolega ze studiów na UMCS. On już przed wojną zdążył dobić matury, nawet otrząść się o podchorążówkę sanitarną w Warszawie. I już był wreszcie 1939...

Gdy po wojnie wrota uczelni szeroko otworzyły się i przed chłopiskimi dziećmi — aż trójka Krupków, chłopiskich dzieci spod Wilkołaza, znalazła się na UMCS. Siostra też skończyła medycynę, a Jurek — wążasz znakomity — dyrektorował przez lata wojewódzkiemu zjednoczeniu PGR w Lublinie, potem był wiceprzewodniczącym Prezydium WRN, teraz zaś jest zastępcą dyrektora naczelnego w Zjednoczeniu Hodowli Zwierząt Zarodowych w Warszawie. Cała trójka Krupków — to jednak także moje pokolenie. To walczące w czasie okupacji, nie dojadające w czasie studiów, społecznie działające w studenckich organizacjach. I ta społeczniowska żyłka pozostała całej trójce. Jan, dyrektor adampolskiego sanatorium, uprowadza mnie po starym budynkach „biedniejszych Zamojskich”.

Już w czerwcu 1946 powstało sanatorium. Szybko projekt obiekł się w ciału konkretno.

Garść podstawowych informacji. Kto się leczy? Doktor Jan Krupka ma na podorzędziu zestawienie za rok 1963.

— Na 490 osób było: 205 rolników, 62 pracowników fizycznych, 43 — umysłowych, 93 — rencistów i 83 innych.

Przerzywam:

— Czyli ówczesny podporucznik nie pomylił się tak bardzo pisząc, że tu będą leczyć się chłopcy i robotnicy?

— Nie. Jeszcze przed ustawą dla całego kraju — kuracje przeprowadzaliśmy bezpłatnie. Dawne „suchoty” przestały być dla wsi jedną z najstraszniejszych klęsk. W tamtej, dawnej epoce, „suchoty” to już był koniec. Dziś gruźlica jest chorobą uleczalną, oczywiście jeśli się ją wcześniej wykryje i jeśli zdyscyplinowanie się ją leczy. Mamy smutne zjawisko. Przyjeżdża rolnik na kurację ale gdy przychodzi roboty połowe — musi wracać do domu. Siac, zbierać... Nie ma go kto zastąpić. Przerzywa się leczenie. Potem następuje tak zwana „lekooporność”. Może by kółka rolnicze, związki zajęły się organizowaniem pomocy tym gospodarstwom, których właściciele przebywa na leczeniu? Niechże nasz wysiłek w zwalczaniu tej groźnej kiedyś choroby nie idzie na marne. Zrobiliśmy już wiele, ale nie wolno nam się uspokajać...

Mówi to jako lekarz i działacz społeczny. Jako chłopski syn, który z uporem szedł przez życie.

Rozpisałem się ponad miarę. A tyle jeszcze zdań z raportu warto byłoby skonfrontować z dniem dzisiejszym. I dochodzić raz po raz do wniosku, że na lubelskiej, na włodawskiej ziemi jest ciągle ogrom roboty. Ze można sobie zrobić ręce do łokcia. Jeszcze na rozwiązanie czeka wiele spraw miasta i powiatu. Jeszcze...

Jakże to jednak inna kategoria spraw w zestawieniu z raportem młodego podporucznika.

Inna po prostu epoka.

Alojzy Sroga

# Harasymowicz karuzela z madonnami

**O** TWIERAJAC nowy tom Jerzego Harasymowicza „Madonny polskie” dobrze jest pamiętać, że w dorobku tego poety znajduje się już „Mit o świętym Jerzym” oraz „Pastorałki polskie”. A także poematy o motywach cerkiewnych, usytuowanych na pograniczu kulturowym polsko-ruskim. Tytuł zbioru nie dziwi więc, zapowiadając raczej kontynuację dotychczasowych zainteresowań poety. Do tej pory Harasymowicz miał jednak dwie ojczyzny poetyckie: Muszynę i Kraków. W „Madonnach polskich” znajdujemy się blisko tej pierwszej — nad Popradem, na Podkarpaciu, na styku trzech kultur, trzech narodowości — polskiej, ruskiej i słowackiej. Ta okoliczność dużo dla tych poematów znaczy, ale wszystkie wprowadzone tu tradycje stapiają się w niezwykle sugestywną całość.

Cykl rozpoczyna Madonna z Krużlowej — może najbardziej upowszechniana z gotyckich madonn. Poeta wyprowadza ją niejako z sali muzealnej, cofa do jej naturalnego otoczenia — właśnie do Krużlowej, gdzie przy zbieraniu jagód anioł jej zwiastował:

anioł jak jastrzęb wielki  
za górę poleciał  
co wie tesi powiedzą  
zamyślona szła miedziami

Obserwujemy tu jedną z cech metody poetyckiej Harasymowicza. Funktem wyjścia jest konkretna rzeźba, figura Madonny, ale poeta nie opisuje dzieła sztuki, nie przedstawia muzealnego przedmiotu. Przeciwnie — rzeźba nabiera życia, staje się konkretną postacią, uczestnikiem ciągu sytuacji. Zauważmy, że większość utworów tego tomu opiera się na rozmowie, na dialogu, a więc są to sceny, załączki jakiegoś widowiska. Jakiego? Cytat poprzedni mógł zapowiedzieć jedną z cech jego poetyki, ale bardzo pośrednio. W tym samym utworze czytamy:

W Krużlowej Madonna  
na cieletku brykała  
brzany rwała rękami  
do Świątkowej wioski  
do matki Anny  
chodziła na koper

Znajdujemy się na terenie ludowego pojmowania religijności i spraw niebieskich. Jest to religijność antropomorficzna, biorąca dosłownie zdanie „jako na niebie tak i na ziemi”. Toteż Madonny Harasymowicza nie tylko jako dzieła sztuki są osadzone w krajobrazie polskim, one — w stylizacji poetyckiej — wyrastają z folkloru, z ludowości. Madonna jest tu i zwykłą wiejską dziewczyną, i „spiską frajirką”, patronką zbójów i pogranicznych przemytników, królową gór. Poeta poszedł drogą już sprawdzoną: wybrał tradycję ludowych jasełek i pastorałek. Dzięki temu sprawy wielkie sprowadził do ludzkich, a właściwie do ludowych wymiarów i wyobrażeń, natomiast rzeczywistość zwykłą — wyniósł i wywyższył. Stąd berła, korony, złoto — one sakralizują rzeczywistość. Ale z przyjęcia konwencji jasełkowej wypływa jeszcze pewien znaczący skutek, bardzo dobroczynny. Oto poematy Harasymowicza zawierają bogaty ładunek niezwykłego humoru.

Harasymowicz w poszukiwaniu tradycji idzie jeszcze głębiej — do gotyku. Surowość i prostota kształtu obrazowego ma językowy odpowiednik w archaicznym słownictwie i to — ciekawo! — poeta nie używa języka mówionego, ale pisanego, takiego jaki, przekazała nieporadna średniowieczna polszczyzna. Jest w tych poematach „wielki Panosza”, „swecha”, „anjoł”, „sleciw”, „pośpiej się” — a to przecież okolice „Kazań Świątokrzyskich”. Trzeba się jednak zgodzić, że wszystkie te elementy scالیły się społecznie, dały utwory o dużej urodzie i wdzięku poetyckim. Poprzedników miał Harasymowicz wielu — tym trudniejsze jego zadanie. Poza tradycję wspomnianą należy pamiętać o Tytusie Czyżewskim i Mironie Białoszewskim z „Ballad rzeszowskich”. Ten ostatni bodaj pierwszy w tak całościowy sposób wykorzystał tradycję gotycko-ludową, tworząc za każdym razem małe widowisko poetyckie.

Toteż nowości utworów Harasymowicza widzę w próbie wyjścia poza tradycję, a właściwie próbę rozwijania w podobnym duchu. Czy to wtedy, gdy poeta z humorem tworzy słowa Madonny:

Ruskie gadanie  
traktory i traktory  
płoszą mi anioły

Madonna nie pracuje?

Z kim Synka  
zostawię  
z teronami?

Choć w paradoksalny sposób, ale znalazł w ten sposób poeta poród współczesności. Równocześnie — poszerzał swoją poetycką mitologię, pozostając, jak pisze o sobie — „na polu romański a na polu poganiński”. Obawiam się tylko, żeby Harasymowicz nie stworzył poetyckiej cepelii. Niech to zostawi naśladowcom.

Tadeusz Klak

Jerzy Harasymowicz: Madonny polskie. Warszawa 1963. Czytelnik.

## POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie placimy honorarium.

Redaktor tej rubryki sam już głowę traci, zagubiony, a raczej zatopiony w morzu czytelnich pomysłów okazjonalnych. Ot choćby szopka świąteczna autorstwa Pana K. L., członka Klubu Empigoniistów:

MISTRZ I UCZNIOWIE

Akt I  
Mistrz: Czy kapu papu jecie?  
Uczeń I: Kapujemy.  
Uczeń II: Jemy.  
Uczeń III: Wi się. Wisię.  
Mistrz: Złudzie dzieje ulegacie. Gacie.

Akt II  
Mistrz: Jecie kapu?  
Uczeń I: Kuku na muniu ma.  
Uczeń II: Eci peci. Nie leci.  
Uczeń III: Kiepat (kiecha).  
Mistrz: W ten ci czas maikontenci z was.

Akt III  
Mistrz: Papu...  
Uczniowie: (młczą).  
Mistrz: O, wy dęcy bilet Kurty...  
(Kurty za nas)

Skoro święta mamy już z głowy, można skupić uwagę na filiacjach, które zachodzą w obrębie działających na terenie rubryki grup. Oto „Brekot” donoszą: „Łączymy literacki jazz z literackim big-beatem. Zjemy nowoczesną sztuką. Pisze my wspólnie teksty, bo teraz tak się to robi. Obecnie, po weryfikacji, nasza awangardowa Grupa Brekot składa się z następujących ludzi. Szef — Adamowiczak z Lublina (obecnie — Wokalista), Bitlesowa, Hippies, Hiendryx, Felicjane i Dżordż. Same wesołe chłopaki. Ładujemy teksty tak, żeby było i śmiesznie, i nowoczesnie.” A tekścik taki:

POGRZER PSA

Toż to było  
Widowisko  
Najpierw kroczyła  
W wołce  
Pani  
Potem  
Pan  
Z peruka na głowie  
Łańcuchem na szyi  
I z long-playem  
„Dziwny jest ten świat”  
Pod pachą  
Następnie  
Słynny  
Parasolnik z Sopotu  
I dopiero  
Na końcu  
Jechał  
W dalszym wózeczku  
Zdechły pies  
I mrugał  
Chytrze  
Lewym okiem

A to cwaniak ten Adamowiczak — do „Brekotów” przeniknął, skoro z jego własnej grupy niewiele wyszło. Pozdrawiamy wszystkich młde lub więcej obrotnych naszych współpracowników. Święt śmiesznych i pitnych życzymy!

## Krzyżówka nr 14

17. XII. 1954.

Rzedami poziomymi:

- 1 — Jak Wisła szeroka — pierwszy szkic jakiegoś utworu.
- II — Jeśli gra, to wszystko w porządku — autor powieści „Młodość Jasia Kunefala”.
- III — Najwyższe bóstwo babilońskie i przyczyna wszelkiego istnienia — szeroki nóż do torowania sobie drogi w dżungli.
- IV — Skrót nazwy polskiej organizacji bojowej z czasów drugiej wojny światowej.
- V — Transportowanie więźniów pod strażą do miejsca sądu lub kary — nad Birkenau wg Szmaglewskiej — nuta.
- VI — Skrót nazwy organizacji sturmo wej NSDAP — przywódca watahy.
- VII — Tajniki jakiejś wiedzy — koryta odprowadzające wodę z dachu.
- VIII — Zakon założony w 1099 r. w Cistercium we Francji — narodowy pisarz Sakocji („Narzeczona z Lammermoor”).
- IX — Np. lubelska z 1 lipca 1963 r. — wierzchołek stęgi — reżyser i główny aktor filmu „Wakacje pana Hulot” (wspak).
- XI — Mienne — głos żmii — broń Amora.
- XII — Ma dyżur na Wieży Mariackiej — poeta czeski a także hiszpański.
- XIII — Imię żeńskie.
- XIV — Pisarz rosyjski („Kolchida”) — papuga.

Rzedami pionowymi:

- 1 — Deszcz lub śnieg — ofiara „Przekrojowych” żartów.
- 2 — Pan na biblijnej arce — miasto nad jeziorem ryńskim — pojazd Noego.
- 3 — Pobudka, zachęta, okazja (brak jednej litery).
- 4 — Zniszczenie, likwidacja — kasztanowaty lub czczony.
- 5 — Stolica zimowych sportów — kolonia portugalska w Indiach.
- 6 — Dziesięć metrów kwadratowych.
- 7 — Miasto powiatowe w woj. kieleckim.
- 8 — Główne źródło fosforu dla gleby — składkowa zabawa towarzyska, wycieczka.
- 9 — Rodzaj zupy — ojczyzna „Marsjan” — kapitan w Siło, głowa pokolenia kapitańskiego Nob. wychowawca Samuela.
- 10 — Litera grecka.
- 11 — Bogini zła — część lampy natłowej — odbłask pożaru.

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14

I				18		32		5					35
II					26			1					37
III	28						16					10	
IV			19								31		
V		15											
VI				20		34							
VII	30	21											29
VIII				4				27					
IX							14					6	13
X	7												
XI					33			36				22	
XII			3			8	24						17
XIII				9					2	11	25		
XIV			12										23

„KADR”

13 — Córka wodza Argonautów, patronka myślistwa — insult.  
14 — Podziłka — ścianka lub balustrada wieńcząca budynek i zwykle zaslaniająca dach.  
Po rozwiązaniu krzyżówki litery ułożone w kolejności odpowiadających im liczb od 1 do 37 dadzą ostateczne rozwiązanie.  
Podać również należy wyszukane w diagramie krzyżówki pięć utworów znanej polskiej pisarki.

## Krzyżówka nr 15

POZIOMO: 1. latrzańskie zwierzę, 5. grecki pisarz tragedii, 9. aromatyczna przyprawa, 11. elektroda dodatnia, 12. dzieło, produkt, 13. gdy pracuje, nie jest sobą, 15. dramat Ibsena, 16. przepływa przez Luck, 17. śpiewany monolog, 18. napędzanie zwierzęcy na strzały myśliwych, 20. przedmiot uformowany z roztopionego surowca, 22. stan w USA, 24. siedziba Sądu Najwyższego NRE, 27. artystyczna nalepka właściciela książki, 30. przyprawa kuchenna, 33. stolica W. Księstwa Litewskiego, 34. sprzęt Baszanowskiego, 35. polska rasa psa, 38. muzyczna litera, 39. pustynia w Azji, 40. ozdoba architektoniczna w kształcie listwa, 43. wiązka, 44. urządzenie do regulowania przepływu przez rurę, 45. melodia do chodzenia, 46. Mickiewiczza przekład kasyd tureckich, 47. bezczulka.

PIONOWO: 1. zbiór pieśni, 2. pokój, 3. duże ciastko, 4. dawna miara objętości, 5. polny śpiewak, 6. miękka tkanina bawełniana, 7. czwąg, 8. z łuku, 10. Jaja rybie, 12. zieleni skwerów, 14. imię znanego polskiego ekonomisty, 19. osłona dłoni przy broni siecznej, 21. futro z chłozofretki, 23. zimowa rosa, 25. kierownica statku, 26. wybitny amerykański pisarz zmarły w 1961 r., 28. zapasowy kon, 29. błazen Zygmunta Starego, 30. stolica wladców starożytnej Krety, 31. międzycz, kondygnacja, 32. niezgodność intereów, 34. lezakowana wódka ze spirytusu żytniego, 35. imię żony Stefana Batorego, 37. starogrecki rynek, 41. zapota (wspak), 42. sieć do polowa min.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozdajemy cztery nagrody w postaci bonów książkowych.

Rozwiązanie krzyżówki Nr 12

POZIOMO: pantomima, Kromer, udo, kram, kraki, onons, tender, Perspektyw, chan, labu, ratusz, chrzan, aku, Buch, mineralogia, uprawa, dukat, szpak, Elba, rokada, Sulkowski.

PIONOWO: postęp, Nida, odstę, Iowa, auto, konstytucja, Orkan, Rembrandt,

1	2	3	4	5	6	7	8
9	10		11				12
	13		14			15	
			16				17
18	19			20			
			25		26		
					27		29
30		31	32				
			33			34	35
36	37				38		
						40	41
43			44				45
46						47	

natura, Ewa, słu, Estramadura, czako, termometr, antena, Uri, lustro, askari, Akaba, koks, trał, pies.

NAGRODY OTRZYMUJĄ:

1. Wacław Mazurek, wieś Oleśniki, p-ła Fajslawice, pow. Krasnostaw.

2. Witold Palej, Polanica-Zdrój, ul. Łąkowa bl. 4 m. 6.

3. Maria Bratkówna, Biata Podlaska, ul. Brzeska 51.

4. Bożena Kontek, Lublin, ul. Ballady-ny. 12 m. 231.

## Listy do KAMENY

„Rozmowa z czytelnikami”

Wiele mi dała do myślenia „Rozmowa z Czytelnikami”, zamieszczona w „Kamieniu” Nr 24 (421). Godny poparcia jest projekt umieszczenia w „Kamieniu” stałej rubryki „Kronika kulturalna Lubelszczyzny”. W tej rubryce można omawiać prace kulturalne różnych instytucji, jak PDK, uniwersytetów poszczególnych itp.

Na wsł lubelskiej działa wiele klubów „Ruch” czy „Rolnika”, które prowadzą działalność kulturalno-afektową nie zawsze na należytym poziomie. Nie mają jeszcze wypracowanych form pracy. Na ten temat można pisać bardzo dużo i tym samym kształtować pracę kulturalną. Działalność bibliotek i czytelni również godna jest uwagi, podobnie sprawa rzetelnej propagandy czy-

telniczej, szczególnie na wsł, lub stan organizacji klubów inteligencji mieszkającej na wsł i jej pracy w miejscowym środowisku. Mimo że wielu ludzi korzysta ze środków masowego przekazu, jak radio i telewizja, ale to jeszcze nie wszystko. Niejedyn chętny się znaleźć od czasu do czasu w teatrze choćby na takim widowisku, jakie obecnie prezentują w Lublinie: „Dziś do Ciebie przyjeź nie ma”. Niestety, nie ma kto się tym zajm.

Sprawa zaopatrzenia bibliotek w odpowiednio zestawy książek pozostawia również wiele do życzenia tak ze strony finansowej jak i samego doboru. Po czytelnicy „Kamienia” zaletę będzie również od zamieszczenia reportaży i różnych notatek z terenu województwa lubelskiego. Tematów do reportaży chyba jest dostatek, bo mamy wiele miejscowości atrakcyjnych pod względem zabudowy, turystycznym, oraz takich, które zasłużyły się dla polskości w walce z niemieckim okupantem (np. Zamójsczyzna). Można na tym nie stworzyć niejedną opowiadanie czy reportaż, podobnie do „Pseudo” Sere” lub „Tropem ludzi majora Hubala”.

Izuciem tych kilka uwag, dotychczas wsł lubelskiej, ponieważ na wsł miesiam i lepiej ja znam od innych środowisk. Uwadam, że zamieszczenie

w „Kamieniu” raz w miesiącu rubryki „Rozmowa z czytelnikami” jest b. dobrym pomysłem. Oczywiście, niekiedy nie trzeba wszystko umieszczać, co czytelnicy napiszą. Trzeba im tematy podpowiadać. Im więcej będzie poruszanych tematów z terenu, tym szybciej „Kamień” stanie się tygodnikiem, czego pragnie i życzy Redakcja

(bór)

(Nazwisko i adres znane redakcji)

## »KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DO-STATINI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIHOŚLAW DEBECKI, IRENEUSZ J. KAMINSKI (kierownik działu publicystyki), MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI Redakcja techniczna i korekta — Alicja KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udziela płaćkowi pocztowe i „Ruch” Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie akroty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Alje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:

Lublin, ul. Narutowicza 35  
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 253-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 273-33

Korespondencje zwykła prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecony i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZgraf, Zam. 3989 3.12.53. 10 149 P-4

Kamena str. 11

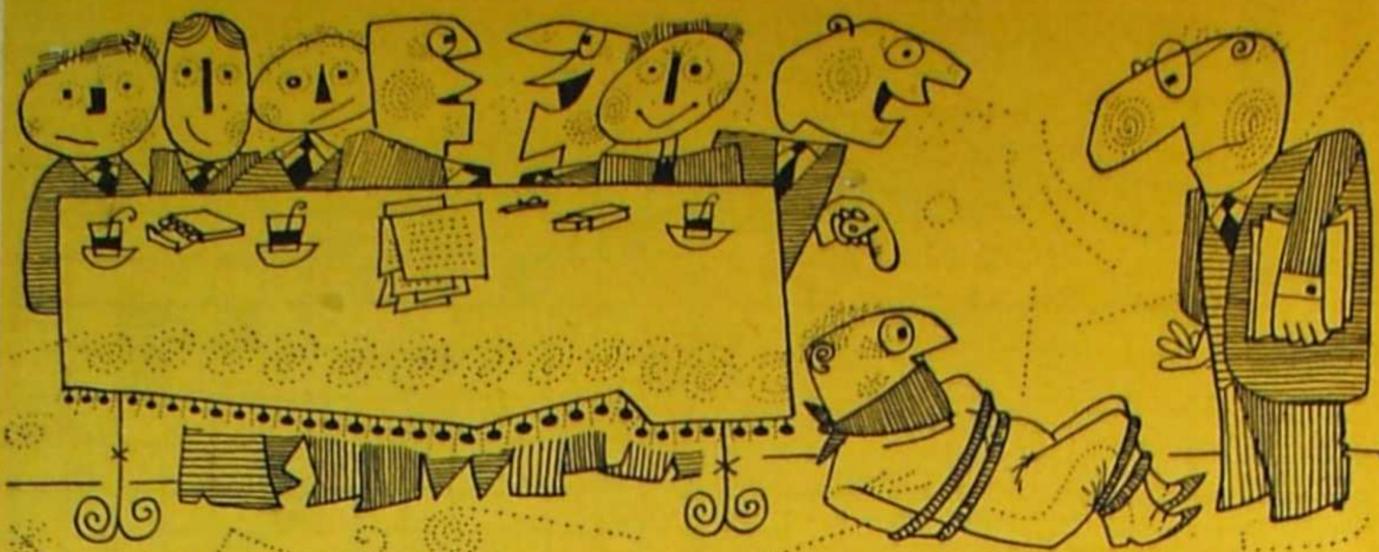
## 600 nr „Głosu FSC”

„Głos FSC” to pismo zakładowe największego w woj. lubelskim zakładu pracy — Fabryki Samochodów Cieszarowych. Pierwszy numer, o ile pamiętam, ukazał się nawet wcześniej, niż z tamy montażowej zjechał pierwszy samochód „Lublin 31”. Nie mieliśmy w kraju żadnych tradycji tego rodzaju pism, stąd też nie brakło głosów, że są one niepotrzebne. Zresztą pierwsze lata istnienia nie były najlepszymi.

„Głos FSC” rozrastał się i dojrzał wraz z zakłosem. Potem zaś zaczął jej przewodzić, mobilizując załogę, podejmując problemy zarządzania przedsiębiorstwem, walcząc o lepsze warunki pracy i bytu wszystkich pracowników.

Stal się dla załogi pismem potrzebnym, do którego można przyjąć zarówno z radością jak i kłopotami, z problemami pracy i życia osobistego. Z jednej strony świadczy o tym przyznana tygodnikowi stopa odznaka Jubileuszowa Związku Zawodowego Metalowców, z drugiej wielka poczytność wśród załogi.

Jubileuszowy, 600 numer „Głosu FSC” ukazał się w zwiększonej objętości 14 stron, zamieszczając m. in. życzenia nadesłane przez przewodniczącego Prezydium WRN, mgr. inż. Ryszarda Wójcika. Redakcja „Kamienia” życzy „Głosowi FSC” dalszych sukcesów w nielatyw, a tak potrzebnej pracy.



On chciał wystąpić z inicjatywą...

Rys. L. Szalecki



## BIG-BEAT

### Podróże kształcą

**P**ANIE Redaktorze! Bardzo lubię rozmawiać z taksówkarzami. Są to przeważnie ludzie gadatliwi, myślicy bardzo krytycznie, umiejący zwrócić uwagę na szereg niedociągnięć. Sądząc, że gdyby ojcowie naszego miasta mniej korzystali ze służbowych samochodów, mogliby zdobyć wiele cennego materiału do przemysłu.

— Panie — usłyszałem wczoraj — kto zezwolił na zlokalizowanie hotelu przy zbiegu ul. Narutowicza i Al. Świerczewskiego? Tu już teraz są trudności, tworzą się korki. Na dobrą sprawę powinno

tu powstać rondo. Albo spójrz pan na skrzyżowanie Lipowej z Krakowskim Przedmieściem. Ciasno, jak diabeł, należałoby tu ulicę poszerzyć. Nie ma co, poszerzyli! Stała restauracja „Astoria”. Gdzie sens? A myśli pan może, że tak bardzo poprawiła się sytuacja, gdy przebudowano klin? Czasem kilka razy zmienia się światła, a ja stoję jak głupi na ulicy Buczka i nie mogę wjechać na ulicę Armii Czerwonej. Przedtem nie było światła, ale stałe stal milicjant i jakiś ten ruch regulował. Słowo daję, że łatwiej się jeździło niż dzisiaj. A co będzie za rok, za pięć lat? Trzeba będzie znów przebudowywać. Czy mamy tyle pieniędzy, żeby je wyrzucić w błoto? Planujemy, panie, na wczoraj, a nie na jutro. Weź pan jeszcze jako przykład Aleję PKWN. Zupełnie nowa arteria. I co zrobili? Do Miasteczka Uniwersyteckiego prowadzą tylko jedną jezdnię. Dopiero później ktoś zmyślał i zrobił ulicę dwukierunkową. Nie można było wcześniej pomyśleć? A trólebusy? Panie, przecież to zawałdironi. Cały świat nastawia się na autobusy, a myśmy poplątali ulicę drutami. Wleka się te czerwone pudła, a nie daj Boże, gdyby ktoś nawalił na Krakowskim Przedmieściu. Kłopot. Panie jeździć się nie chce. Samochód w Lublinie to przekleństwo.

— A jednak pan jeździ — zauważyłem nieśmiało.

— Jeżdżę, bo z czego żyć muszę. Ale zawód nielekkki. Spróbowałby pan tak siedzieć po kilkanaście godzin na moim miejscu!

— Ale poznaje pan ciekawych ludzi!

— O, tak, ludzie to dobrze poznaję. Zwłaszcza w nocy, gdy stoję pod „Europa”. Kiedyś wytoczył się mocno podпиты facet, siada obok mnie i każe się wieść na Krakowskie Przedmieście. Gdzie na Krakowskie? — pytam — Jesteśmy przecież na Krakowskim.

— Pod Dziekanką mnie pan wysadzi — on mi na to. Zapuszczam motor, głupio mi się przyznać, że nie wiem, gdzie ta Dziekanka. Pod KUL go zawieźć, czy pod Pałac Biskupi? No i wie pan, co się okazało? Facet był tak zawiąny, że myślał, iż jest w Warszawie!

— Do Warszawy pan chyba i tak czasami jeździ?

— Rzadko, ale i to się trafia. Czasami zbierze się czterech panów, którzy jadą na delegację. Rozliczają się z pospiesznego i klasy, ale im się taki wyjazd kalkuluje. Mnie też.

— Miał pan jakieś ciekawsze przygody?

— Czego nie, bywają. Raz się chorzebnie bałem. Był wieczór, śnieżna zadymka. Stałem właśnie przy dworcu, a tu podchodził zarówny mężczyzna i każe się wieść do Kraśnika. Usiadł z tyłu, ustaliliśmy taryfę, na wszystko się zgodził, nawet z góry dał mi pieniądze. Pędzimy. Gdzieś za

Wikolazem zaczął rozwijać paczkę. Minął nas jakiś samochód, w lusterku zobaczyłem, że trzyma żelastwo w ręku. Zdrętwiałem. Nie ma co, teraz rabnie mnie w łeb. Gwałtownie zahamowałem. — Panie, co pan wyprawia — zawołał — maszynę do pisania mi pan rozwalił. Faktycznie miał maszynę zawiniętą w papier. Papier mu rozmoknął w czasie tej iniekcji, bał się, że mu się uszkodzi. Bardzo głupio mi się zrobiło. I niech sobie pan wyobrazi, tego wieczoru już z Kraśnika nie wróciłem. Popiliśmy zdrowo, z tym facetem. Klawy gość i wcale nie był zarówny. On hodował brode!

Dojechaliśmy na miejsce. Licznik wskazywał 12,50 zł. Wydał mi dokładnie, co do grosza, resztę z pięćdziesiątki.

— Widzi pan, w powrotną drogę do miasta pojedę pusty. Co za interes!

— Ale w tej samej chwili spostrzegłem biegnącą kobietę, która dała mi znak ręką, abym zatrzymał taksówkę.

— Panie, zabierze mnie pan do Kraśnika? — spytała kierując.

Kobieta trzymała w ręku dużą paczkę.

— Maszyną do pisania? — spytałem.

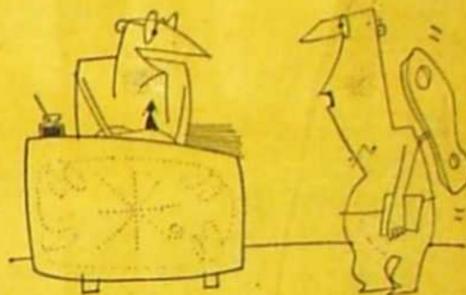
— Odkurzac. Córka kupiła sobie nowy...

I tak to, Panie Redaktorze, podróże kształcą.

Jacek



Rys. W. Fuglewicz



— Proszę o taryfę ulgową, profesorze. Ja się dopiero rozkręcam.



Student pierwszego roku.



— Nim się dostał na studia pracował jako kelner.

Rys. L. Szalecki

## NOTY i notki

**NAJPIERW LEKKOMYŚLNY** „Przekój” przez kilka numerów czesławał nas nieduwzłaczny paszkwiłem o prywatnym życiu Edith Piaf. Ten obywateli donos spowodował we Francji, gdzie się najpierw ukazał, kilka procesów, o czym zresztą „Przekój” donosił. Ale dopiero po zakończeniu druku obszernych wyjątków paszkwiłu, chociaż te procesy zaczęły się znacznie szybciej. Teraz z kolei „Za i przeciw” drukuje wyjątki z pamiętnika Otto Strassera, który — oczywiście — przedstawia się jako wróg, a przynajmniej przeciwnik Hitlera. Z odcinka w nr 49 możemy się dowiedzieć o romansie Hitlera z własną siostrzenicą. I domyślać się na ten temat bardzo brzydkich rzeczy po przytoczeniu — jak przystało na chrześcijański tygodnik — listu pewnego księdza, niestety anonimowego.

**JAK GDYBY NIE BYŁO** lepszych i bardziej współczesnych historii z działalności wywiadu, bydgoski dwutygodnik „Pomorze Magazyn” rozpoczął publikację cyklu „Mata Hari — legenda i prawda”. Anonimowy autor zapowiada, iż dowiedzie, że Mata Hari nie była szpiegiem, co już dawno usiłowali dowiedzieć inni. A oto próba rozmowa, dzięki której możemy rzeczywiście wiele dowiedzieć: „Matłonek okazał się człowiekiem... na wskroś rozpustnym. Urodził się syn, a po roku córka”. Dotychczas wydawało mi się, że rozpusta polega raczej na czymś odwrotnym — przynajmniej jeżeli chodzi o final.

**„DOOKOLA ŚWIATA”** nie jest pismem dla przedszkolaków, ale młodzieńcom. Redakcja ma jednak bardzo złe zdanie o swoich czytelnikach. W nr 49 czytamy, że w Londynie „mężczyźni woła blondynki”, bo tak wypowiedziało się 12 proc. ankietowanych. To nie, że również 12 proc. wypowiedziało się za rudymi, a reszta (więc chyba 76 proc.) za brunetkami lub w ogóle nie miała zdania. W tym ostatnim wypadku za brunetkami lub „w ogóle nie” musiałoby się wypowiedzieć co najmniej 28 proc. To przecież nie jest wyższa matematyka.

**KIEDYS WSPRZECZYNIE WPROWADZONO** obowiązek dołączania biletów do delegacji. Potem ten oczywisty nonsens zniesiono. Ostatnio jednak w lubelskim resorcie kultury znów wprowadzono obowiązek dołączania biletów PKS. No i wynik taki: pojedziesz okazją, płacąc czasem mniej, czasem więcej, ale chęć wykonać swoje zadanie — za karę nie zwróca ci nic. Gdy prelegent zabierze do własnego samo-

chodu kilku kolegów — dostanie figę. Nie wiem, kto wydał takie zarządzenie, ale proponuję mu, aby sam zaczął podróżować autobusami. I niech np. wieczorem próbuje przyjechać PKS z Lubartowa. No cóż, zamiast szewcem będziemy teraz straszili dzieci: bo zostanie pracownikiem kultury.

**PRZEDZIWNIE RZECZY** dzieją się w redakcji Polskiej Kroniki Filmowej. W nr 298 „Głosu Pracy” reprodukowano zdjęcie zespołu PKF. Duże, więc nie ma trudności z ustaleniem, że trzech mężczyzn (podano imiona i nazwiska) ubiera się w mini-sukienki i nosi długie włosy, a dwie panie noszą się całkiem po męsku. Nazwiska jednej osoby w ogóle nie ujawniono — widocznie to rzeczywiście trzecia pięć. Nie śniem przypuszczać, że to w redakcji „Głosu Pracy” coś się komus pokreśliło. Bo jeżeli to wszystko sami dostrzegają, to zaraz napiszą: choćliki.

**PRZYNAJMIENI JĄ** dowiedziałem się po raz pierwszy, ile zarabia minister. Jak podały „Perspektywy” (nr 14), pensja łącznie z dodatkami wynosi 11 tys. zł. Przypuszczam, że wielu kandydatom na te stanowiska zgrzebia mina. A zająłbym do przedwojennego rocznika statystycznego (str. 278 i 279). Przed wojną minister zarabiał 2 tys. zł i miał jeszcze 2 tys. zł dodatku funkcyjnego (rodzinnego nie było). No i teraz proszę sobie przeliczyć, jak kto chce.

**„SLADY PROWADZA W NOC”** — zapowiada Janusz Faber tytułem powieści, drukowanej w „Kurierze Polskim”. Powieść niży detektywistyczna, ale powoli zaczyna wygłądać na pełną głębokiej filozofii i wspaniałej znajomości życia. Oto próbka z nr 286: „Nie lubi pan pornografii? — Czy ja wiem... tak rzadko widuje się dobrą pornografię. — Pornografia nie może być dobra. Wtedy jest sztuka. Ja osobliście bardzo cenię pornografię. Nie tak nie wzywała człowieka z tego całego świnstwa, które leży w każdym z nas, przywołano kamieniem kultury... A może, w konkretnym wypadku, to nie żaden kamień, ale malutki kawałek pumeksu?”

**ZA KILKA TYGODNI** ma się ukazać nowy polski radioodbiornik tranzystorowy. Z tej okazji producent („Eltra” z Bydgoszczy) przy pomocy niezastąpionego CAF rozpowszechnia w prasie fotografie tego aparatu. Tyle, że aparat zajmuje jakąś ósmą część powierzchni, natomiast połowę wysoko odsłonięte nożki jakiegoś miltego zresztą dziewczątka. Widocznie tak trzeba, bo aparat nosi żeńskie imię „Izabella”, a ponadto odbiera programy na falach ultrakrótkich.

JOD

## Odpowiedzi redakcji

Marian z Warszawy. Jest to w głównej mierze dosyć poprawnie napisane — pod względem polszczyzny (tylko z ortografią kłopoty) i gwary wiejskiej — sprawozdanie z życia penitencjariuszy w więzieniu (lepiej kategorii). Brak nam było jakiegokolwiek „zagrywu” literackiego. Nie mówiąc już o tym, że w tekście nie ma właściwie żadnej głębszej kwestii ludzkiej, bo owa najniwniejsza dydaktyka — oparta na bezpośrednim stwierdzeniu jak to więzienie uczy i wychowuje — takiej sprawy przecież nie stawia. Pan zresztą nawet tego nie pokazał, Pan to tylko powiedział. Stosunkowo najciekawsza wydaje się postać Warszawiaka — „fachowiec z branży”, który zdobywa się na realizację swego człowieczeństwa. Ale to jest dopiero materiał na nowe opowiadanie, bez sentymentalnych akcentów, z pogłębieniem i skomplikowaniem rzeczy całej, gdyż taka jest ludzka natura i tak właśnie trzeba ją w literaturze ujmować. Czy po raz pierwszy próbował Pan pisać, czy też ma Pan za sobą jakieś doświadczenia w tym zakresie?

S. L. w Lublinie. „Pisz raczej dla rozrywki” — stwierdza Pan w liście. Jeśli faktycznie taki ma Pan stosunek do swego zajęcia, to nie do dobrej dla literatury wynikać stąd nie może. Najwyżej marne fraszki. A już z pewnością nie wolno tak traktować pisania o kwestiach, które zawiera nadesłany tekst. Przy podjętym temacie martyrologicznym nie wyszedł Pan poza sztuczny patos i ogólnikową deklaracyjność. Mści się chyba niewłaściwie pojmiowanie pisarstwa. Zresztą idzie również o talent. Zalecamy lekturę „wojennych” wierszy Różewicza i opowiadań obozowych Borowskiego. Następnie —

uzmysłowienie sobie własnego stosunku i zarazem stosunku pokoleńia dzisiejszych dwudziestolatków do tragicznej przeszłości „czasów pogardy”.

W. G. we Wrześni. „Wczoraj śladami w dłoni duszę/ myślę że zmuszę sok z mózgu wydużę/ ze splamieł spuciżny kropki zostawie/ myślę że muszę/że poezję z siebie wydużę — na próżno”. Oj, niezbyt krępujące perspektywy wyznacza Pan swojej muzie. Już Mickiewicz narzekał na nieadekwatność słowa wobec podmiotowych doznań, co wszelako po tym Poezie w literaturze naszej zostało. Tymczasem inne Pańskie wiersze — nie lepsze od cytowanego.

W. G. w Ostrowie. Sprawa raczej bezradziejsza. Po raz drugi musimy Pana rozczarować — te same błędy co poprzednio. Dopóki będzie Pan eksplotował ten temat i w dodatku w taki sposób — zdania nie zmienimy.

Nie wymieniając licznym autorów z nazwiska, zdecydowaliśmy się na odpowiedź zbiorową, ponieważ chodzi o zjawiska dosyć powszechne. Otóż zawsze popieraliśmy ruch KKMP, drukując — jak wiadomo — teksty wielu członków Klubu, nie tylko z Lubelszczyzny. Nie zamierzamy rezygnować z tej postawy. Wszelako nie wydają nam się w do-brym guście, ani tym bardziej uzasadnione, częste żądania (tak — żądania!) publikacji tylko dlatego, iż autorzy uczestniczą w ruchu KKMP, nieraz zaledwie jako sympatycy czy kandydaci na członków. Wyłącznie znaczenie ma dla nas jakość utworów, a nie przynależność lub sympatia organizacyjna twórców. KKMP — o ile nam wiadomo — ma za zadanie wykształcić przede wszystkim działacza kulturalnego na wysokim poziomie, rzeczywiste laury poetyckie zdobywa w tym ruchu niewielki odsetek ludzi. O tym pamiętamy i o tym powinni pamiętać zainteresowani autorzy, przynajmniej w przyszłości.



Rys. A. Biały